Dr. Kowalski Edwin
Poznań
Daszyńskiego 100 m. 5

Cena 20 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 18 czerwca 1950 r. | Nr 24 (238)

Andrzej Micewski

Rewolucja w Berlinie

„SEID BEREIT!"

Do Berlina przybyło 1600 dziennikarzy w tym kilkuset przedstawicieli krajów kapitalistycznych. Byli tam korespondenci największych dzienników i agencji prasowych Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych. Prasa całego świata z niezwykłą uwagą obserwowała zlot Wolnej Młodzieży Niemieckiej. Nie ulega już dziś wątpliwości, że zlot stał się wydarzeniem politycznym olbrzymiej miary.

W niedzielę Zielonych Świątek odbyła się w alei Unter den Linden potężna defilada pełnej entuzjazmu siedmiusettysięcznej masy młodzieży. Entuzjazm ten jest trudny do opisania. Był on także bardzo trudny początkowo do zrozumienia jeszcze na kilka dni przed demonstracją, szczególnie dla nas. Będę się starał później wyjaśnić w jaki sposób on się w młodzieży niemieckiej zrodził, jaki jest głęboki i jak przeżyty. W tej chwili chcę pozostać przy demonstracji i jej politycznym znaczeniu.

Głównym hasłem pochodu była idea walki o pokój. I każdy kto widział 700.000 maszerujących dziewcząt i chłopców, kto słyszał jak nieustannie przez 9 godzin skandowali hasła pokojowe, jak deklarowali swoją przyjaźń do Związku Radzieckiego i Chińskiej Republiki Ludowej, Polski i innych krajów, jak nieśli flagi i portrety mężów stanu państw socjalistycznych, kto wczuł się w atmosferę Berlina w dniach zlotu, ten może niezwykle łatwo i precyzyjnie sformułować wniosek stanowiący polityczną, międzynarodową ocenę tej demonstracji.

Jednym z naczelnych ciągle powtarzających się haseł Zlotu było hasło „Bereit zur Arbeit und zur Verteidigung des Friedens — seid bereit". I istotnie wszystko wskazywało, że ta młodzież jest gotowa.

Przekładając to na język polityczny trzeba wniosek nasz sformułować tak: Każdy rząd imperialistyczny, który by chciał podjąć wojnę, musi wiedzieć, że ta młodzież będzie bronić pokoju. Znaczy to tyle, że agresor będzie zmuszony do tej młodzieży strzelać, walczyć z nią. „Misja" ta będzie trudna do spełnienia zapewne także dla zachodnio-niemieckich zwolenników starego porządku społecznego, militaryzmu i rewizjonizmu. Jak zaś dalece rozwija się militaryzacja Niemiec Zachodnich świadczy chociażby np. informacja podana niedawno z Brukseli przez dziennik „Drapeau Rouge" o szczegółach realizacji anglo-amerykańskich planów wojennych w Niemczech Zachodnich, gdzie dokonuje się faktyczne odrodzenie Wehrmachtu pod pretekstem tworzenia różnego rodzaju formacji paramilitarnych. W chwili obecnej w Niemczech Zachodnich istnieje:

1) oddziały policji przemysłowej, liczące przeszło 100.000 żołnierzy, 2) kompanie pracy liczące około 80.000 ludzi, 3) oddziały policji kolejowej, rzecznej, granicznej itp. w liczbie 30.000 osób. 4) oddziały policji porządkowej w liczbie 30.000 osób oraz 5) specjalne bataliony pracy w strefie brytyjskiej liczące 107.000 osób. Członkowie wszystkich tych formacji paramilitarnych są uzbrojeni i przechodzą intensywne przeszkolenie wojskowe.

Zlot berliński musiał wywołać dużą demobilizację psychiczną wśród elementów inspirujących nadzieje wojenne w Niemczech Zachodnich. W tym tkwi jego rola polityczna, która wybiega daleko poza zwykłą problematykę jakiegokolwiek ruchu młodzieżowego. Prof. Gerhard Eisler, kierownik Urzędu Informacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej, znany w Polsce przez niedawne wypadki na naszym statku „Batory" podał do wiadomości dziennikarzy oficjalną liczbę uczestników zlotu. Wynosiła ona 700.000 młodzieży. Według obliczeń robionych przed Zlotem spodziewano się przybycia 500.000. Pomylono się więc o całe 200.000, co jak mówił na konferencji prasowej w Berlinie Eisler — było miłą pomyłką. Teraz jeśli weźmiemy pod uwagę, że wzięła udział w Zlocie poważna, bo 28.000 licząca grupa młodzieży z Niemiec Zachodnich okupowanych przez Anglosasów i jeśli dodamy, że z liczby tej tylko około 8.000 młodzieży przybyło drogą legalną, zaś 20.000 przez tzw. zieloną granicę (co zresztą jest otwartym problemem politycznym, gdyż według doniesień prasy Anglosasi zatrzymali dotychczas 10.000 powracającej młodzieży) widzimy, że rola polityczna Zlotu powiększa się jeszcze przez to, iż była na nim reprezentowana niemal cała młodzież niemiecka i że był on wiele mówiącą demonstracją wpływu prężności rewolucyjnej Niemieckiej Republiki Demokratycznej na zachodnie strefy okupacyjne.

Tu dwie sprawy wydają się oczywiste.

Primo: Cały obóz walki o pokój, obóz socjalistyczny rozumie już dziś dobrze, że jeśli Niemcy nie będą narzędziem w ręku imperialistów, to wojna w Europie jest niemożliwa i dlatego walka o oblicze ideowe i polityczne Niemiec jest jednym z centralnych zagadnień światowej problematyki politycznej.

Secundo: Dla niemieckich sił rewolucyjnych skupionych w Niemieckiej Republice Demokratycznej, pierwszym obowiązkiem patriotycznym, a więc założeniem ideowo-politycznym jest zjednoczenie całości Niemiec. Ta jedność Niemiec jest jedną z podstaw tzw. Frontu Narodowego wszystkich partii politycznych N. R. D. i jest ona dla Niemców zadaniem pierwszym nawet niż ostateczna konsekwentna przebudowa socjalistyczna kraju.

Tak więc w Berlinie faktycznie broniono pokoju i faktycznie zadano cios polityce angloamerykańskiej na terenie Niemiec. Dowodem tego najlepszym jest choćby ogromne zdenerwowanie jakie politycy brytyjscy i amerykańscy okazywali w całej naiwnej zresztą akcji propagandowej w celu zdyskredytowania Zlotu, jak i nieco śmieszne obstawienie w dniu demonstracji granicy zachodnich sektorów Berlina czołgami i policją. Ujawniono w ten sposób dość wystarczająco jak bolesne jest dla Anglosasów „przegranie" młodzieży niemieckiej.

„EŚ LEBE DIE ODER-NEISSE GRENZE"

Centralny punkt polityki całego obozu socjalistycznego: walka o pokój, była punktem ciężkości demonstracji berlińskich, ale charakter tym demonstracjom nadawały jeszcze inne momenty nas szczególnie interesujące.

Przez cały kilkudniowy okres Zlotu przebywałem, jako korespondent prasowy, razem z polityczną delegacją polskiej młodzieży w Berlinie. Począwszy od niesłychanie miłego powitania na lotnisku, przez cały swój pobyt, aż do uroczystego pożegnania na granicy we Frankfurcie nad Odrą, delegacja polska była obiektem niezliczonych owacji i spontanicznej serdeczności młodzieży niemieckiej. Odegranie polskiego hymnu narodowego zaraz po wylądowaniu samolotu, powitanie delegacji przez vicepremiera N. R. D. Waltera Ulbrichta, dosłowne zarzucenie naszej młodzieży kwiatami, wreszcie niezliczone okrzyki na cześć Polski, przyjaźni naszych narodów i wreszcie... na cześć granicy pokoju nad Odrą i Nyssą Łużycką, — oto przykłady niezliczonej ilości objawów tej serdeczności. Szczególnie często i zawsze czujnie — ucho polskie reagowało na okrzyki „Es lebe die Oder-Neisse Grenze — die Friedensgrenze". Okrzyki te padały bardzo często i zawsze były przez młodzież niemiecką podejmowane burzą oklasków, po kilkanaście minut trwającym skandowaniu słowa: „Freundschaft — Przyjaźń".

Wszystko to robiło olbrzymie wrażenie, ale to mogły być reakcje zbiorowe, reakcje zorganizowanej, wychowanej i zdyscyplinowanej młodzieży. Dlatego wątpliwości trzymały się jeszcze między członkami delegacji i dziennikarzami, padały pytające spojrzenia. Starałem się wówczas usilnie znaleźć własny punkt widzenia. Myślałem: Trzeba koniecznie, natychmiast dotrzeć do indywidualnego człowieka, do samego najbardziej osobiście przeżywającego młodego Niemca. Udało mi się to. Odbyłem dużą ilość osobistych rozmów, każdą z nich zaczynali moi rozmówcy od słów „przyjaźń" lub „przyjaciele", zaraz potem następowało na pewno bardzo wiele ich kosztujące usprawiedliwienie: „wyście byli pierwszym krajem który myśmy zniszczyli" lub „my pamiętamy o przeszłości, ale teraz jesteśmy już innymi ludźmi". Żegnając się we Frankfurcie, widziałem łzy na twarzy młodego, niemieckiego tłumacza, który przebywał przez tydzień przy delegacji polskiej, widziałem jak członkowie naszej delegacji rozdawali niezliczone autografy. Stykałem się najbardziej bezpośrednio z setkami młodych, rozpalonych, chcących nas przekonać twarzy.

Berlin — Brama Brandenburska

Wątpliwości znikały, punkt widzenia się krystalizował: ta młodzież uległa ogromnej przemianie.

Ale tu zaraz nasuwało się pytanie jak do tego doszło, czy to jest trwałe, jak głęboko przeżyte?

JAK DO TEGO DOSZŁO?

W roku 1945 po wyzwoleniu Niemiec z hitlerowskiego reżimu władze sowieckie i narodowe siły postępu stanęły przed niezwykle skomplikowanym problemem przemiany Niemiec. Zastosowano głęboko przewidującą politykę. Zaczęto od młodzieży. Zniszczono książki i podręczniki oparte na koncepcjach rasistowskich. Zwolniono z zajmowanych funkcji 72% nauczycieli, którzy byli członkami N. S. D. A. P. Padały wówczas głosy, że rujnuje się szkolnictwo. Władze radzieckie i komuniści niemieccy nie załamali, mimo opozycji, konsekwentnej, twardej linii. Do szkół posłano na nauczycieli — robotników po kilkutygodniowym kursie.

Przez ten czas wychowano pierwszą kadrę młodzieży lewicowej. Rekrutowała się ona czy to z jeńców niemieckich, którzy w Związku Radzieckim przeszli kilkuletnią ewolucję ideową, czy to ze starych jeszcze sprzed 1933 roku komunistów niemieckich, czy wreszcie z roczników najmłodszych, których hitleryzm jeszcze nie zdążył opanować. Ta kadra poszła uczyć do szkół już w następnym roku. Wydano nowe tymczasowe podręczniki w formie broszur i skryptów. Wreszcie rozpoczęto robotę wychowawczo-organizacyjną. Wielka nowa organizacja młodzieży „Freie Deutsche Jugend" liczy dzisiaj 1.133.309 członków. Razem z organizacją „Die Jungen Pioniere" stanowi to 2.016.309 chłopców i dziewcząt. Cyfry te podane oficjalnie przed pewnym czasem, stale jeszcze rosną. F. D. J. zrzesza młodzież od lat 15 do 25. Do organizacji „Młodych Pionierów" podporządkowanej bezpośrednio F. D. J. należą chłopcy i dziewczęta od 7 — 15 lat. Przez 5 lat nad tą młodzieżą pracowano, robiono niesłychany wysiłek, zużyto całe doświadczenie postępowych metod wychowawczych. I niewątpliwie Walter Ulbricht, vicepremier N. R. D., faktyczny twórca i opiekun nowej młodzieży niemieckiej zebrał w ostatnie Zielone Świątki w Berlinie, bogaty owoc swojej pracy.

To cośmy o niej dotychczas napisali nie oddaje jeszcze ani części problemu. W każdej prawie dziedzinie życia Niemieckiej Republiki Demokratycznej odnajdujemy ślady tej walki o nowego człowieka niemieckiego, a w szczególności o młodzież. Republika liczy dziś około 19.000.000 ludności. Trzeba nam wiedzieć, że w tej liczbie znajduje się ni mniej ni więcej jak 4.000.000 ludności wysiedlonej z polskich Ziem Zachodnich i z Czechosłowacji. Wiemy jak problem wysiedleńców z ziem polskich rozwiązano Niemczech Zachodnich. Siedzą oni tam po prostu po obozach, w warunkach niesłychanie prymitywnych, a nawet na tychże miejscach, gdzie hitlerowcy prowadzili swoje „KACETY". Perfidia i cel tego rodzaju metod są dla nas całkowicie przejrzyste.

Tymczasem w Niemczech Wschodnich problem wysiedleńców został już właściwie rozwiązany i to jest moim zdaniem, największym chyba sukcesem socjalno-gospodarczym Republiki. Ludności tej, która mogła być wiecznym zarzewiem niezadowolenia, chęci odwetu i rewizjonizmu dano w Republice w ciągu tych 5 lat warsztaty pracy, wybudowano mieszkania, tak że jest ona już związana z nowym miejscem i warunkami życia. To był wysiłek tytaniczny stworzyć warunki dla tych 4.000.000 ludzi. I dopiero na tym tle zrozumiałem dlaczego nie odbudowuje się wschodniego, kompletnie zniszczonego Berlina, dlaczego nie widać tam naszego warszawskiego rozmachu. Republika musiała sprostać najpierw tamtemu zadaniu.

Gospodarcze przyczyny niezadowolenia wysiedleńców zostały usunięte.

Szukałem specjalnie wśród młodzieży niemieckiej dzieci tych wysiedleńców. I rzecz znamienna, nie znalazłem wśród nich już żadnej tęsknoty za przeszłością. Oni także szczerze krzyczeli „Freundschaft". Choć co drugi z nich mówił mi, że urodził się w Breslau, Hirschberg,

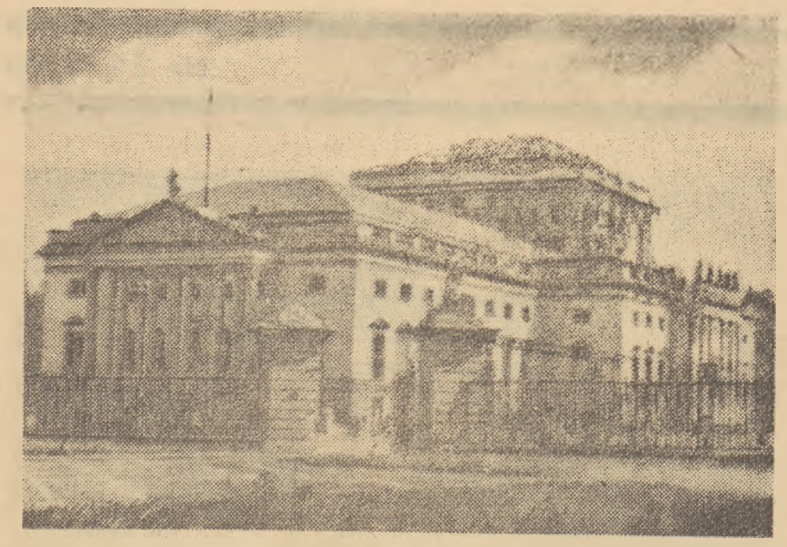

Berlin — gmach Opery Państwowej

czy nawet w Łodzi. Na tym odcinku wykonano w Republice olbrzymią robotę.

DALSZE WATPLIWOŚCI I WYJAŚNIENIA

Społeczeństwo niemieckie można dziś podzielić wg. kryteriów politycznego nastawienia na trzy grupy. Oczywiście zakładam z góry, że wszystkie podziały są dosyć względne i uzależnione od z góry przyjmowanych kryteriów. Otóż pierwszą grupę w dokonywanym przeze mnie podziale stanowi młodzież w zasadzie do lat 25, a często do 30. Drugą grupą są pokolenia liczące dziś lat od 25 do 40. To są pokolenia, które stanowiły główną kadrę hitleryzmu. O młodzieży już trochę napisałem, otóż co dzieje się z tymi następnymi rocznikami. Przede wszystkim trzeba podkreślić, że są one najmniej liczne. Przesiała je wojna, trochę uciekło zagranicę, trochę siedzi w niewoli, i wreszcie pewna część — zbrodniarze wojenni przebywa, przynajmniej w strefie radzieckiej, za kratkami.

Ci, co w kraju zostali, (mówię oczywiście cały czas o Niemczech Wschodnich, bo w zachodnich ludzie ci mają znów wspaniałe pole do popisu), nie wywierają jakiegoś głębszego piętna na życie publiczne. Zapewne ulegli temu samemu załamaniu co znaczna część niemieckiego społeczeństwa. Dziś nawet byli formalni członkowie N.S.D.A.P., jeśli nie są zbrodniarzami wojennymi mają swoje przedstawicielstwo polityczne w „Partii Narodowo Demokratycznej" i mogą aktywnie włączać się w procesy odbudowy i budowy republiki. Nie mogą oni jednakże zajmować stanowisk w szkolnictwie i sądownictwie oraz w tych dziedzinach pracy, które są związane bezpośrednio z wychowaniem człowieka.

Trzecią wreszcie grupę stanowią roczniki powyżej lat 40. To w większości ludzie, którzy przeżyli obie wojny światowe, oczywiście najbardziej załamani, najmniej aktywni. Nie ma u nich mowy o buncie wobec nowego porządku, ale nie ma też dla niego specjalnego entuzjazmu, przynajmniej w większości. Praca nad nimi jest najtrudniejsza, poza względami politycznymi grają tu bowiem normalne dla starszych pokoleń uwarunkowania socjologiczne, łatwe do obserwacji nie tylko w Niemczech i nie tylko w naszych czasach. Z tej charakterystyki społeczeństwa niemieckiego wynika niebicie, że najaktywniejszym i najciekawszym elementem w republice jest młodzież. Toteż ta młodzież ma wpływ na życie publiczne państwa. Młodzi ludzie zajmują najbardziej odpowiedzialne stanowiska w administracji i samorządzie. Np. burmistrz miasta Lipska liczącego około 700.000 mieszkańców liczy sobie aż 22 lata, jest on członkiem F. D. J. W czasie Zlotu w Berlinie odbył się Kongres 10.000 delegatów młodzieży niemieckiej w obronie pokoju. Punktem kulminacyjnym Kongresu był moment gdy przedstawiciel Rządu Republiki zawiadomił zebranych na sali, o zmianie ustawy o pełnoletności. Młodzieży niemieckiej przyznano czynne prawo wyborcze od lat 18, zaś bierne, prawo wybieralności już od lat 21. Owacje i entuzjazm sali nie miały końca.

Politycznie znaczy to tyle, że w wyborach, które odbędą się w N. R. D. w październiku br. młodzież uzyska na pewno bardzo poczesne miejsce. Tym bardziej, że członkowie organizacji F. D. J. należą nie tylko do partii S. E. D., ale także do innych stronnictw politycznych. Młodzież ma i będzie miała coraz większy wpływ na rządy w tym kraju. Wielki znawca problemu niemieckiego Edmund Osmańczyk, któremu zawdzięczam wiele moich informacji o Niemczech, trudnych do zdobycia w czasie jednotygodniowego pobytu, nazywa te procesy wielką rewolucją młodzieży. Wskazuje on na brak precedensu podobnego wpływu młodzieży na władzę państwową.

Chciałbym wskazać tu na pewne bardzo istotne momenty wychowawcze tłumaczące jeszcze przemianę niemieckiej młodzieży. Mianowicie stanowisko ideowe tej młodzieży, jej dynamizm znajdują bodźce w niezwykłym wprost awansie młodzieży i w stwarzaniu dla niej możliwie optymalnych warunków do nauki i pracy. Te rzeczy młodych ludzi biorą, oni wiedzą, że są głównym przedmiotem troski państwa, i że już teraz za to państwo mogą ponosić odpowiedzialność.

Dalszym takim bodźcem jest fakt, że młodzież niemiecka przychodząc do domu z dużym ładunkiem ideowym znajduje tam często opór, ale bez uzasadnień, często negację, żadnej pozytywnej postawy ideowej, a często również załamanie i marazm. To wywołuje reakcję. W tych wypadkach młodzi przeciwstawiają swój zapał pustce i nihilizmowi starszych.

UWARUNKOWANIA

Dla kogoś, kto był w Berlinie w dniach manifestacji, szczerość przemiany młodzieży niemieckiej nie ulega wątpliwości. Przypuszczenie o zbiorowej obłudzie i udawanym entuzjazmie jest absurdem. Udawanie na taką skalę i to przez młodzież jest po prostu niemożliwe.

Godnym natomiast uwagi jest zagadnienie uwarunkowań społecznych, którym ta młodzież podlega. Nie będąc marksistą, to znaczy nie przyjmując materialistycznego poglądu na świat zdaję sobie w pełni sprawę z olbrzymiego znaczenia czynnika gospodarczego w życiu społecznym. Twierdzę jednakże, że procesy społeczne są wypadkową całego szeregu czynników z których czynnik gospodarczy może być w pewnych okresach, ale na pewno nie zawsze jest decydującym. Jeśli dziś mówimy o takim zjawisku socjologicznym jak tzw. charakter narodowy to jest ono wynikiem bardzo skomplikowanych powiązań różnych czynników. Otóż w swoim czasie pisano dużo w Polsce, mniej lub bardziej mądrze, o charakterze narodowym Niemców. Mieliśmy zresztą nie byle jakie powody, żeby się tym zagadnieniem zajmować. Było w tym wszystkim nieco demagogii. Ale było także sporo słusznych obserwacji i analiz historycznych. Jeśli stawiam tu to zagadnienie to tymczasem bez ambicji zajęcia jakiegoś pełnego stanowiska, chcę jednakże poruszyć pewne bezsporne, moim zdaniem, jego wycinki. Mianowicie nie ulega wątpliwości, że Niemcy są narodem o silnym instynkcie społecznym i specyficznym temperamencie politycznym. Z drugiej strony trzeba zwrócić uwagę na fakt, że trwał tam przez wieki określony typ wychowania, który kierował ten temperament w najniebezpieczniejsze strony. Niemcy przyzwyczaili się w życiu społecznym słuchać i wykonywać. Dziś płacą bardzo dużo za to, że nie zawsze myśleli i łatwo ulegali entuzjazmowi dla nacjonalistycznych sloganów. Takich Niemców myśmy znali i nie mamy co tego ukrywać. Wydaje mi się, że można zaryzykować tezę, że przemiana niemieckiej młodzieży, jej niezwykły entuzjazm jest także między innymi wynikiem dyspozycji psychicznych tego narodu. Jego tendencji do pełnego zaangażowania społecznego. Tylko mówiąc tak musimy pamiętać, że Niemcy którzy chcą dziś działać i walczyć muszą przyjąć założenia sprzeczne z całą ich dotychczasową historią i dlatego na pewno muszą oni myśleć, a nie tylko słuchać i wykonywać. Mówiąc tak nie możemy zapominać, że młode pokolenie niemieckie przyjmuje dziś doktrynę rewolucyjną, wstrząsającą całym światem, dla całego świata, a nie dla jednego narodu. Toteż w służbie idei socjalistycznej w służbie pokoju i sprawiedliwości wrodzone narodowi niemieckiemu cechy charakterystyczne wyjdą tylko na dobre sprawie ogólnej.

Cechy te może ułatwiły w dużym stopniu szybkość przemiany w Niemczech, ale dziś są tak konsekwentnie wprzęgane w służbę dla nowych form życia, że o ile ten stan potrwa jeszcze dłużej nie łatwo będzie zepchnąć Niemców z tej drogi, a ich charakter narodowy wykorzystać dla celów niebezpiecznych dla ludzkości. Nasze polskie stanowisko w tej sprawie musi być pełne aprobaty dla wszystkiego co sprzyja trwaniu i intensywności zrywania z junkierskim duchem agresji.

Stanowisko to trzeba jeszcze uzupełnić. Chodzi o stronę dla nas najważniejszą, o katolicki punkt widzenia. Przemiany w Niemczech są jednym z wyrazów postępu obozu socjalistycznego w ogóle w świecie. Przemiany te są dokonywane przez marksistów, to trzeba widzieć jasno. Otóż jaki jest nasz stosunek, stosunek katolików do tych spraw. Chcę tu postawić tezę, że popieramy te przemiany nie tylko jako Polacy, czy jako ludzie, którzy opowiedzieli się za socjalistycznym ustrojem społeczno-gospodarczym i chcą znaleźć swe miejsce w obozie socjalistycznym, popieramy te przemiany także jako katolicy. Znamy wszyscy mało chlubną rolę katolików w Niemczech Zachodnich, wiemy, że niestety stali się oni firmantami wielu tendencji militarystycznych i rewizjonistycznych. Otóż przemiana w Niemczech, a w ogóle zwiększanie się stanu posiadania obozu socjalistycznego w tym kraju i na całym świecie, powinna wywołać przełom ideowy w katolicyzmie niemieckim. To jest powód pierwszy dla którego cieszymy się z postępu tych przemian ze stanowiska katolickiego. Drugim powodem jest nasze najgłębsze przekonanie, że im dalej będzie szedł socjalizm, im więcej krajów w całości lub w części katolickich będzie obejmował tym większe szanse będą mieli katolicy w skali coraz większej przekonać marksistów, że wyznawanie naszego spirytualistycznego światopoglądu nie musi się łączyć ze wsteczną postawą społeczną. Tym samym zaś światopogląd katolicki będzie rozszerzał swój wpływ na treść życia w nowych formach społecznych jako nieobarczony nieufnością i równouprawniony.

KILKA SPRAW OGÓLNYCH

Trudno pisząc o Niemczech ograniczyć się jedynie do już omówionych zagadnień. Pisałem wyżej o roli katolików w Niemczech Zachodnich, należałoby wspomnieć o katolikach w Niemieckiej Republice Demokratycznej i o ogólnej sytuacji politycznej. Poza partią marksistowską S. E. D. istnieje w Republice C. D. U. partia katolicka. Jej linia polityczna wydaje się podążać za ogólnym rozwojem sytuacji. Jednakże w pewnych okresach zakradały się tam już elementy wsteczne i dywersyjne. Niemile uderzył mnie brak jakichś sformułowań ideowych C. D. U., nie słyszałem także o poważniejszych wydawnictwach teoretycznych. Istnienie C. D. U. w realnym układzie sił politycznych jest uzasadnione przede wszystkim wpływem tego na problematykę katolicką Niemiec Zachodnich. Partia ta mogłaby odegrać niezwykle cenną rolę. Trzeba jej życzyć przede wszystkim wysiłków teoretycznych, bo bez głębokiej i przeżytej postawy ideowej nie ma konsekwentnej linii politycznej, a poza tym trzeba jej życzyć dopływu świeżych, młodych sił ludzkich.

Wachlarz polityczny uzupełniają w republice partia ludowa, partia liberalno-demokratyczna, która skupia elementy ateistyczne i wspomniana już przez nas partia narodowo-demokratyczna.

Sytuacja gospodarcza Republiki ulega poprawie z dnia na dzień, jednakże stale jest ciężka. Niemcy płacą reparacje, musieli rozwiązać zagadnienie ludności wysiedlonej z Polski i Czechosłowacji w liczbie 4.000.000, co jak pisałem jest ich największym osiągnięciem na tym odcinku.

Dziś republika jest już w przededniu zniesienia systemu kartkowego. Wysiłki gospodarcze szły przede wszystkim po linii odbudowy przemysłu. Olbrzymim osiągnięciem jest tu uruchomienie na nowo zakładów Zeissa powstałych dzięki inicjatywie i ofiarności kilku ludzi wspartych entuzjastycznie przez młodzież z F. D. J.

Ciekawą dygresją będzie tu opis wrażeń jakie przeżywa się w Berlinie po przejściu do stref zachodnich, anglosaskich. Otóż pierwszą reakcją jest wrażenie dobrobytu. Wrażenie to powstaje przede wszystkim dlatego, że sektory zachodnie są mniej zniszczone, ale także uderza bogactwo wystaw sklepowych, dostatek pełnych magazynów. Człowiek odczuwa pewien niepokój, pyta się jak jest możliwa ta dysproporcja w sytuacji gospodarczej sektorów. Ale jak wrażenie nasze jest złudne i jak może mylić ów zewnętrzny blichtr w świecie opartym o gospodarkę wolnokonkurencyjną przekonujemy się rychło, gdy wejdziemy do sklepów i wspaniałych magazynów mody. Wnętrza ich świecą pustkami. Klientów jest mało, niewielka bowiem ilość ludzi może pozwolić sobie na tak wygórowane ceny. Królują wśród klientów oczywiście anglosascy żołnierze, a przede wszystkim oficerowie, którzy kupują fatałaszki dla swoich niemieckich przyjaciółek. Zaraz po obejrzeniu kilku wspaniałych domów mody w sektorze brytyjskim pojechałem do domu towarowego na Aleksanderplatz w sektorze radzieckim. Były tam oczywiście tłumy kupujących. Towary nie odpowiadające może elitarnym smaczkom garstki uprzywilejowanych, ale zato dostępne dla każdego. Tak rozwiała się złuda zewnętrznego blichtru. Pozostało tylko przekonanie, że Berlin jest miastem, jednym z nielicznych w tej chwili, gdzie odzwierciedlają się wszystkie kontrasty starego i nowego świata. Dlatego trzeba tam wszystko bystro obserwować i nie wolno ulegać pierwszym wrażeniom.

UMOWY WARSZAWSKIE

Do zagadnienia niemieckiego w publicystyce chciałbym jeszcze powrócić. W tym artykule musiałem je postawić na pewno nie wyczerpując, dając jakąś ogólną syntezę swoich wrażeń i przemyśleń.

Będąc w Niemczech dopiero — zdaje sobie człowiek sprawę z tego, jak my mało się w problematyce tego kraju orientujemy i jakie to jest szkodliwe. Czytelnika polskiego należałoby intensywnie i szczegółowo informować o zagadnieniu niemieckim. Powinniśmy jeździć do tego kraju i nie ograniczać się do suchych dziennikarskich informacji, ale spoglądać na wszystko problemowo, dążąc do głębszych analiz publicystycznych. Wpłynęło to by także i na rozumienie przez społeczeństwo polityki obozu socjalistycznego wobec Niemiec.

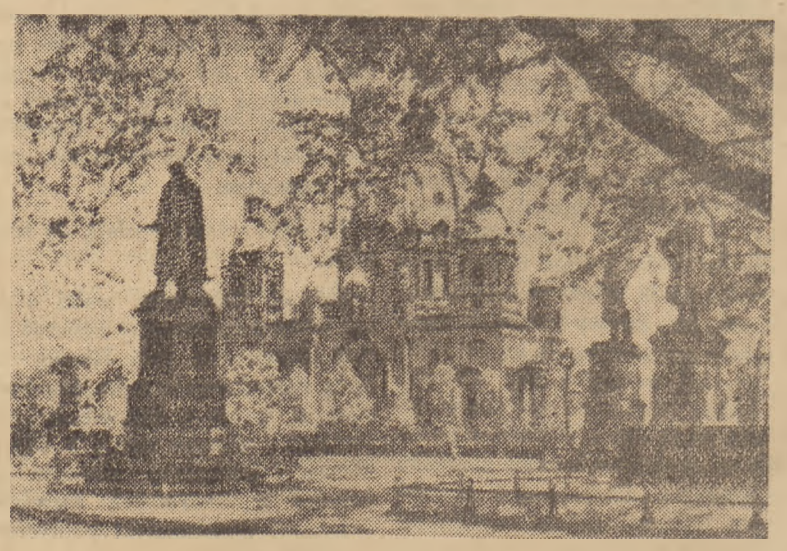

Berlin — Katedra

Dokończenie na str. 12-tej.

Zygmunt Lichniak

CASUS: PAUKSZTA

Twórczość powieściopisarska Eugeniusza Paukszty zasługuje na specjalną uwagę. Interesować nas w niej powinno nie tylko objawienie nowego, niewątpliwie dużego talentu, ale również ciekawe podejście do realizacji bardzo ambitnego programu, bardzo zdobywczego zamierzenia, stanowiącego w kontekście wydarzeń polskiej literatury powojennej cenne i wartościowe novum.

Paukszta wgłębia się w problematykę współczesności, atakuje najaktualniejsze sprawy naszych dni, utrwala historię jeszcze nieostygłą, jeszcze nie zaklętą prawami dystansu i nie zamkniętą w kryształ tzw. „epickich proporcji". W tej pracy można — nawet trzeba — popełniać błędy, mądre błędy, których wartość sprawdza się. Paukszta popełnia takie błędy. Mówiliśmy już o nich przy innych okazjach, będziemy mówili o nich zawsze, gdy wyjdą na jaw w którymkolwiek jego dziele. Ale Paukszta już dzisiaj dowiódł, że w ogólnym rozrachunku popełnianie takich błędów opłaca się sowicie. Wliczanie ich do bilansu pisarskiego, jako kosztów podróży do ciekawego, przebogatego kraju, tematów, problemów i możliwości twórczych, kalkuluje się, daje czysty zysk: już dzisiaj Paukszta ma określoną, zaszczytną pozycję tego pisarza, który chwyta byka za rogi, nie zraża się trudnościami, zwalcza opór materiału, tworzy powieść współczesną.

Dał nam do tej pory dwie książki: „Trud ziemi nowej" i „Trzecią zmianę".

„Trud ziemi nowej" jest pierwszą w Polsce powojennej powieścią, poświęconą pracy i życiu nowych osiedleńców i autochtonów na Ziemiach Odzyskanych. Paukszta — borykając się z oporem nieruszanego przed nim tematu — stworzył obraz walki o nowy kształt życia w nowych warunkach. Długie miesiące spędzał wśród pracowników rolnych, rozmawiał, badał, obnażał bolesne urazy, kompleksy, uprzedzenia, obserwował proces narodzin nowego klimatu, wchodził w nowy problem. Nie organizowano jeszcze wtedy wypraw literackich do fabryk i PGR-ów. Fabryki wtedy dopiero się odbudowywały, o PGR-ach dopiero się mówiło. Paukszta był sam. Swoim pionierskim doświadczeniem dał wyraz w swej pionierskiej powieści. O tym trzeba pamiętać.

Błędy pionierów są zrozumiałe. Na nieprzetartych szlakach łatwo zbłądzić, łatwo nogę skręcić w wykrotach, łatwo się zachwiać, a czasem i upaść. Paukszta nie jeden raz się potknął. Potknął się na konstrukcji, na „rewolwerowości" fabuły, na czarno - białych postaciach. Pisaliśmy o tym, ciesząc się jednak jego osiągnięciami, wytrwałością i ambicją. Przypominamy o tym, doceniając jego osiągnięcia, wytrwałość i ambicję.

Druga jego powieść: „Trzecia zmiana" jest osiągnięciem, świadczącym o przeradzaniu się wytrwałości w konsekwencję, o krystalizowaniu się ambicji w określony program pisarski.

Znowu tematem jest praca, głównymi konfliktami — konflikty zagrażające jej właściwej funkcji i znaczeniu, niebezpieczeństwami — niebezpieczeństwa zagrażające jej atmosferze. Wejście do huty, wnikanie w arkana pracy hutników nie jest u Paukszty piknikową wycieczką literacką, lecz pisarską wyprawą po temat, który urzeka swoją wagą, znaczeniem, sensem społecznym. Paukszta docenił jego rolę, ale — nauczony doświadczeniem — zrozumiał i trudności. Ostrożnie cofnął się ku ostatniemu z lat przedwojennych. Ostrożnie i rozważnie ograniczył się do szkicu, czujnie przemyślał rygory opisu, konstrukcji, aby zdecydować się na kondensatę czasową, aby w obszernym opowiadaniu narysować plan i tło trudności, czekających go w dużej powieści z ostatnich lat.

Czytaliśmy już fragmenty trzeciej jego pracy, wiemy, że znów pisarz zbliża się do najbardziej palącej problematyki współczesnej. Z łatwością domyślamy się, że jego „Trzecia zmiana" była — po doświadczeniach „Trudu ziemi nowej" — wzięciem rozbiegu, manewrami, wyrabiającymi konieczną sprawność w walce z bykiem nowego, arcy-nowego tematu. To nie znaczy wcale, aby nie była czymś skończonym, domagającym się oceny jako zamknięta, zwarta całość. Wydaje nam się jednak, że całość tę lepiej można rozumieć widząc w niej moment dynamiki rozwojowej pisarza.

Pisarz nauczy się na pewno wiele na jej błędach i osiągnięciach pozytywnych. Błędy — odliczone jako koszty cennej, odkrywczej wyprawy — znowu wzbogacą ogólny bilans jego doświadczeń.

„Trzecia zmiana" zwróciła na siebie uwagę recenzentów. Podkreślano świeżość jej tematyki, zwięzłość kompozycyjną, wyrazistość postaci, zastrzegano się, że ta świeżość czasami robi słabsze wrażenie, zwłaszcza, gdy autor zbytnio nasyca klimat swojego opowiadania pierwiastkami dziwności, przypomniano konsekwencje zbytniego zaostrzenia w nim rygorów kompozycyjnych, prowadzące do pewnych sztuczności, zanotowano niedostateczną polifoniczność psychologiczną postaci, tj. kontynuację niewłaściwej chyba metody czarno-białego opisu charakteru.

Nie przeprowadzamy w tym artykule szczegółowej analizy twórczości Paukszty, więc nie będziemy zatrzymywali się dłużej nad każdą z pochwał, czy nad każdym z zarzutów. Wystarczy, jeśli stwierdzimy, że na ogół i pochwały te i zarzuty były słuszne, chociaż ani pochwały, ani zarzuty nie określały jego książek, zwłaszcza książki ostatniej, jako współczynnika rozwojowych tendencji uwspółcześniania powojennej literatury polskiej.

Trzeba jasno powiedzieć: twórczość powieściopisarska Eugeniusza Paukszty, twórczość pisarza prawdziwie współczesnego i katolickiego jest symptomem nowego stosunku do funkcji literatury, jest faktem świadczącym o tym, że postulaty nawet najtrudniejsze można realizować, jeśli potraktuje się je nie tylko jako nakaz zewnętrzny, ale i jako zobowiązanie wewnętrzne, nie tylko jako mus historyczny, ale i jako potrzebę osobistą.

Wydawałoby się, że sprawa Paukszty jest sprawą jasną: oto nowy talent atakujący współczesność, patrzmy na niego ze zdwojoną uwagą, uczmy się na jego błędach, pomagajmy mu rzeczowym osądem w jego wszystkich kłopotach, traktujmy jego sprawę jako sprawę odważnej, pionierskiej wędrówki w niezdobytą jeszcze przez literaturę powojenną krainę współczesności.

Niestety, taką wędrówkę Paukszty niektórzy recenzenci potraktowali jako wyprawę dywersyjną. Oskarżyli autora „Trudu ziemi nowej" o to, że kiedy pisze opowiadanie o śląskim robotniku, to wychodzi nie opowiadanie, ale — paszkwil.

Zatakowano jego „Trzecią zmianę" z określonych pozycji ideologicznych. Atak przeprowadziły nieudolne, co prawda pióra debiutantów, ale też z debiutancką gorliwością powypisywały zarzuty i oskarżenia. Ponieważ jednak niektórzy czytelnicy mogą ulec ich sugestiom, a już na pewno rzucają one na sprawę Paukszty niewłaściwe światło trzeba pewne punkty wyjaśnić.

Paukszta jest pisarzem katolickim. Jest rzeczą zrozumiałą, że pisarzom katolickim stawia się większe wymagania. Jednak od pisarza katolickiego, a więc w danym wypadku od Paukszty, nie można wymagać, aby za tło zasadnicze, czy za problem zasadniczy uważał walkę klas. To nie znaczy wcale, że pisarz katolicki tej walki nie uznaje, czy nie wi-

Spotkanie pisarzy katolików

Tegoroczna uroczystość wręczania nagród im. Włodzimierza Pietrzaka zgromadziła sporą ilość pisarzy katolickich przybyłych w dniu 4.VI. br. do Warszawy ze wszystkich stron Polski. Wśród gości redakcji „Dziś i Jutro" znaleźli się: Aleksander Bocheński, Jan Dobraczyński, Antoni Gołubiew, Jerzy Kierst, Stefan Kisielewski, Prof. Stanisław Łoś z K.U.L. Stanisław Podlewski, Eugeniusz Paukszta, dr. Aleksander Rogalski, dr. Irena Sławińska, prof. Kazimierz Szwarcenberg Czerny z K.U.L., Jerzy Zagórski, Wojciech Żukrowski i wielu, wielu innych nie wliczając w to samych laureatów.

Od prawej: Antoni Gołubiew, dr Aleksander Rogalski, Zygmunt Przetakiewicz

Gości, imieniem organizatorów spotkania powitał Dominik Horodyński, po czym odczytał nazwiska pisarzy, którzy nie mogąc przybyć osobiście nadesłali listy.

Nadeszły m. in. listy od: prof. Wacława Borowego, prof. Ludwika Hirszfelda, dr. Artura Hutnikiewicza, Kazimiery Iłłakowiczówny, prof. Ludwika Kleinera, Marii Morstin-Górskiej, ks. prof. Józefa Pastuszki, prof. Zygmunta Wojciechowskiego.

Od prawej: Paweł Jasienica, prof. Szwarcenberg-Czerny.

Żywym entuzjazmem reagowali zebrani na list laureata nagrody naukowej ks. dr. Kazimierza Kłósaka, któremu nawał zajęć uniemożliwił przyjazd do Warszawy, a który w serdecznych słowach pisał m. in.: „Miło mi przyjąć wyrazy uznania od Zespołu, który tak dobrze rozumie transcedentalność Kościoła w stosunku do konkretnych form cywilizacyjnych i który z takim poświęceniem pracuje nad tym, by u nas w Polsce odciąć katolicyzm od kapitalistycznych form cywilizacyjnych i związać go z nową cywilizacją, jaką tworzy nasze państwo i społeczeństwo świeckie".

W liście ks. Kłósak zawiadomił jury i fundatorów nagrody o swej decyzji przekazania przyznanej mu kwoty na fundusz wydawniczy Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Do laureatów i zgromadzonych pisarzy przemówił przewodniczący jury Antoni Gołubiew podnosząc znaczenie nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka.

Laureatka nagrody literackiej Zofia Starowieyska - Morstinowa w swej wypowiedzi podzieliła się z zebranymi doświadczeniami z okresu przedwojennego, który — jej zdaniem — nie obfitował w świadomych twórców literatury katolickiej.

Zwłaszcza licznie reprezentowana młodzież literacka z zainteresowaniem słuchała tej relacji o trudnościach, jakie towarzyszyły przed rokiem 1939, ludziom pragnącym walczyć ze złymi tradycjami zaniedbania intelektualnego wśród katolików polskich. Według Starowieyskiej Morstinowej przede wszystkim bowiem brak środowisk intelektualnych stanowił główny powód, dla którego nie można mówić o literaturze — katolickiej sensu stricto — w Polsce przedwrześniowej.

Jak wiele się pod tym względem zmieniło, wymownie zilustrowała wypowiedź laureata nagrody publicystycznej dr. Stanisława Stommy, który w związku z cyklem essayów o humanizmie chrześcijańskim, jaki przygotowuje na zamówienie Instytutu Wydawniczego „Pax" zaznajomił zebranych ze swoimi przemyśleniami na temat różnicy zachodzącej między humanizmem chrześcijańskim, a personalizmem.

Laureat Nagrody Młodych Mikołaj Rostworowski apelował do starszego pokolenia katolików o żywsze, niż do tej pory, przejęcie się sprawą młodzieży katolickiej, która kształtuje swój światopogląd na pozycjach zaangażowania we współczesność: „Jesteśmy często aroganccy i popełniamy błędy uproszczeń, ale to nie powinno stać się powodem dyskryminacji i wyniosłego odosobnienia, a raczej bodźcem do bardziej wytężonej pomocy intelektualnej tych, którzy kiedyś z dala od polityki mogli się tylko uczyć" — stwierdzał Rostworowski mówiąc o młodzieży, która nie ma zamiaru „obrażać się na historię".

Zofia Starowieyska-Morstinowa

Druga część spotkania była poświęcona dyskusji nad referatem Dominika Horodyńskiego, omawiającym sytuację twórczości katolików na tle Porozumienia i aktualnej rzeczywistości politycznej.

Dyskusja była niezwykle ożywiona i doprowadziła do szeregu ważkich wniosków.

Sumując, trzeba bardzo pozytywnie ocenić warszawskie spotkanie katolickich pisarzy, którzy umieli znaleźć wspólny język wszędzie tam, gdzie sprawa odpowiedzialności za realizację Porozumienia stanowiła przedmiot obrad.

dzi. Nie, to znaczy, że pisarz katolicki grę sił społecznych przedstawia, — bo musi przedstawiać— na innej płaszczyźnie, innymi środkami, w innych kategoriach: na płaszczyźnie napięć moralnych, poprzez obraz indywidualnych zmagań ludzkich w kategoriach nie tylko społecznego, ale ogólniejszego, moralnego dobra i zła. Aby przedstawić świat, czy ludzi w takich kategoriach, musi pisarz katolicki przedstawić świat i ludzi zgodnie ze swoim możliwie najbardziej zobiektywizowanym doświadczeniem, to znaczy w możliwie maksymalnej zgodności z obiektywną prawdą historyczną.

Paukszta jest wierny tej prawdzie. Jego inżynier występuje ze wszystkimi odbiciami swoich uwarunkowań klasowych, ze wszystkimi inteligenckimi manierami, czy nawet dziedzicznymi smaczkami (jak np. zachwyt nad pięknymi dłońmi żony). Jego robotnicy — śląscy robotnicy, o których prawdę mówił Morcinek — noszą w sobie wszystkie cechy klasowe, noszą w sobie świadomość krzywdy społecznej, czy nawet kompleks antyinteligencki. Specjalny — wyraźnie przez autora przedstawiony jako odrębny — układ stosunków między inżynierem, a pracownikami huty tłumaczy się oddziaływaniem sił moralnych, głównego bohatera, siły dobra i umiłowania człowieka, siły poczucia odpowiedzialności. Pisarz katolicki ma nie tylko prawo, ale obowiązek przedstawiania owych moralnych wektorów ustalających kształt stosunków międzyludzkich. Oczywiście, nie wolno mu zbytnio generalizować i upraszczać złożonej problematyki socjologicznej.

Paukszta nie generalizuje i nie upraszcza. Nie uprzedzony czytelnik wyczyta w „Trzeciej zmianie" pośrednie oskarżenie kapitalistycznej koncepcji pracy, kapitalistycznych praktyk. Robotnicy nie mają gazowych masek, w biurze huty panoszyć się może szuja, na odpowiedzialnym stanowisku siedzieć może pijaczyna i chuchro moralne, dyrekcja nie myśli o remoncie pieca zagrażającego tragiczną dla robotników katastrofą, nawet w chwili katastrofy nie zanikają tradycje specyficznych „stosuneczków", protekcyjek, traktowania robotników „per nogam". Zobrazowanie tych spraw wynikło jako konsekwencja rzeczowego, pełnego troski o prawdę stosunku autora wobec przedmiotu. Trzeba jednak chcieć to zauważyć, podchodząc do analizy utworu bez apriorycznych zastrzeżeń, czy uprzedzeń.

Wyjaśniłaby się wtedy sprawa Czarnego jako symbolu, jako umownego znaku pisarskiego, którym pisarz określa widmo zbliżającej się katastrofy, a nawet określonej politycznie akcji dywersyjnej.

Łatwo zrozumieć, że dla marksistów ten kształt dzieła jest niedostatecznie wyraźny socjologicznie. Wynika to z różnic postaw obserwatorskich, które wskazywaliśmy na początku. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego te zastrzeżenia, dające się — jeszcze raz to powtarzamy — uzasadnić odmiennością punktów wyjściowych, doprowadziły do oskarżeń nieprzemyślanych, zarzutów gołosłownych i sugestii fałszywych.

Sprawa Paukszty domaga się wyjaśnienia ze strony bardziej autorytatywnej niż partyzanckie wypady recenzenckich debiutantów.

Zygmunt Cichniak

Leon Bloy

tłum. E. Pazdro

Ci którzy nie chcą o niczym wiedzieć

OD REDAKCJI:

Leon Bloy ciągle jeszcze, niestety należy do najmniej u nas znanych katolickich pisarzy francuskich. A przecież ten namiętny pamflecista wespół z Karolem Peguy jest inicjatorem wielkiej krucjaty przeciwko burżuazji francuskiej. Bloy wystąpił w obronie **wszystkich wydziedziczonych („deposśédés"), tych, którzy przez ustrój kapitalistyczny zostali pozbawieni ludzkich warunków życia. Protestował w** imię głęboko przeżywanego katolicyzmu **przeciwko obojętności i obłudzie, — wielki inkwizytor społeczeństwa chrześcijańskiego, które sprzeniewierzyło się chrześcijaństwu. Styl Bloy jest często chropawy, nawet brutalny, ale osiąga niezwykłą siłę. W drukowanym przez nas fragmencie problem najmowania mieszkań rozrasta się do wymiarów wielkiego symbolu „wydziedziczenia".**

— Panie administratorze, moje domy powinny przynieść mi jeden w drugi sześćset tysięcy franków. Jeśli będzie nadmiar, weźmie Pan to do swojej kieszeni, lecz ja nie chcę o niczym— nic — wiedzieć. Wymagam, aby moje imię i mój adres pozostały nieznane dla wszystkich moich lokatorów bez wyjątku. Nie znoszę reklamacji i skarg i chcę żyć spokojnie. Proszę to sobie załatwić.

Administrator jest to człowiek zdolny, a nie zależy mu na tym, aby go kochano. Wszystko jest w porządku. Właściciel ma czyste ręce jak wytworny Piłat, a jego minister odpowiedzialny ma ręce wolne. Jeden ma spokój, którego pragnie, a drugi ewentualne korzyści, być może — ogromne, których pożąda. Dobry interes dla obu. Można sobie wyobrazić, co się stanie z biednymi w szponach takiego urzędnika. Bo biedni istnieją zawsze; i to nawet pod pozorem zamożności, właśnie tacy biedni umeblowani i odziani nie są do pogardzenia.

Jest to stado baranów łatwe do wyzyskania i tu chytrość sprytnego poborcy ma zawsze szanse, żeby ubić w zamęcie jakiegoś zranionego merynosa w czasie czterokrotnych postrzyżyn w roku. Jakaś piorunująca podwyżka następująca po dobrze skalkulowanym świństwie może dać taki efekt. Zmobilizowanie komorników, licytacja i wysprzedaż mebli zajętych dają nieraz zysk bardzo znaczny. Są i inne sztuczki. Lecz trzeba pętli na szyję z jednej strony i zdolności stratega w czasie wojny z drugiej. Mniejsza jest korzyść z lokatorów drobnych, zapracowanych, niż z robotników - hulaków, od których trzeba każdego tygodnia wydzierać pieniądze w locie, czasem przy akompaniamencie policzków, a zawsze w towarzystwie przekleństw.

To prawda, że ten motłoch przynosi także mniejsze zyski, lecz ryzyko może być zrównoważone korzystnie przez dyskretne kierowanie prostytucją małoletnich jakże często wyzyskiwaną osobiście. Lecz to rzadko się zdarza, żeby wielki właściciel wynajmował mieszkania hołocie, która będzie zupełnie szczęśliwa, gdy się jej wybuduje koszary lub stajnie świńskie w dzielnicach podmiejskich. Ten łup pozostawia się małym właścicielom, kombinatorom wzbogaconym na matactwach lub służącym, którzy zostali rentierami wylizując garnki. Tacy nie mają administratorów. Sami inkasują pieniądze i policzki. Mają też inne sposoby, aby o niczym nic nie wiedzieć, wszystko to wystarcza, aby ostentacyjnie wybrać ze wszystkiego, co istnieje pod słońcem — wypruwanie burżujskich bebechów. O krucieństwo tych bestii jest zbyt znane, aby o nim mówić. Jednakowoż, gdy ono sięga w nieskończoność, ci którzy doświadczyli go najboleśniej, sami nie wiedzą jeszcze, czym ono jest rzeczywiście. Do ilu stopni zlodowaciało miłosierdzie w sercu osobnika, który przez 40 lat sprzedawał po 2 — 3 franków w detalu to, co go kosztowała 0,50 fr., lub u tego monstrum spośród nieludzi, który bywa równocześnie szpiclem, nabywcą kwitów zastawnych, fałszerzem w handlu i właścicielem domu publicznego odziedziczonego po szanownej mamie. Serce drży, gdy się pomyśli o tych sprawiedliwych, którzy mogą skazywać rodziny na śmierć i którzy ciągną z tego korzyści na każdym kroku pod ochroną prawa. Trzeba było być samemu biedakiem, aby wiedzieć co to znaczy oddawać ciągle najlepszą część zarobku i trudu, wprost krew swych dzieci, aby zaokrąglić leniwego pasożyta wielkiego czy małego, przeklętego przez Boga i ludzi, niezdolnego nawet do wewnętrznej psiej wdzięczności wobec stworzeń, które bądź co bądź jednak napełniają mu kaldun.

Są bowiem niezliczeni biedacy, którzy pracują i głodują, aby zapłaciwszy właściciela, uzyskać schron zrujnowany i brudny, bez powietrza i światła, którego już sam widok może obrzydzić życie. Trzeba by zobaczyć cierpienie tych maleństw wycieńczonych z powodu ciągłych braków, aby tylko nasycić opitego krwią rajfura, ochronionego prawem, a który jest jednym z 5 czy 6 tysięcy panów i mistrzów zajmujących dziś miejsce baronów onegdajszej Francji, którzy przecie przelewali krew w obronie swych pracowników.

Żeby przynajmniej za tę straszliwą cenę biedny miał zapewnione schronienie tak, aby był pewny, że za czynsz i cierpienie zyskał ostatecznie to poczucie bezpieczeństwa, że jest u siebie, jak ten wyczerpany koń, któremu litościwy pan pozwoli zdychać w stajni!

Trudno. Nieruchomość musi przynosić dochód!

W interesach — żadnych sentymentów, żadne usprawiedliwienie nie jest dopuszczalne. Przy najmniejszym opóźnieniu — mieszkanie wolne dla innego, a miejsce pod gołym niebiem dla chorego lub ułomnego. Są tacy nieszczęśnicy, którzy opłacili 500 razy to skromne marzenie o spokojnej śmierci we własnym łóżku, a którzy umierają z rozpaczą w sercu na posłaniu szpitalnym. Właściciel ma swoje prawo, swój żołądek, swoje przyzwyczajenia i to jest całkiem zwyczajna rzecz, że inni cierpią, aby u niego nic się nie zmieniło. Nie chce o niczym wiedzieć poza tym, a ukrzyżowanie Boga biedaków jest dla niego starą blagą!

Ale o czym tu mówić? Nie dość, że się zapłaci. Nie ma to żadnego znaczenia, jeśli się nie płaci z góry. Właściciele, którzy się stali zdecydowanymi panami świata, wymyślili jeszcze i to świntuchy! Jeśli mul padnie, zanim zdoła wspiąć się na górę „terminowej wpłaty", nic się na tym nie traci. Trzeba tylko wyrzucić go do dołu zanim przyjdą inni. Dla tych, którzy nie mogą płacić z góry, a jest ich większość, istnieją chodniki i ulice do przechadzki. Ale to jeszcze nie wszystko. Samo płacenie z góry nie wystarcza, młode małżeństwo musi się zobowiązać, pod groźbą natychmiastowej utraty mieszkania, że nie będzie miało dzieci i właściciele każą to podpisać równocześnie z umową lokatorską, a odwołanie z reguły nie istnieje. Rozleniwiony lubieżnik może tyć jak wieprz, bo i naprawy i podatki — wszystko to obciąża lokatora - galernika, a on nie ma tu nic do gadania. Jeśli dojdzie do procesu — niczego nie trzeba się obawiać ze strony biednych: — sędzia rozjemczy zawsze wierny swemu powołaniu „dzieli gruszkę" na korzyść chama - właściciela i społeczeństwo triumfuje*).

Znam cierpiętników, marzycieli, którzy mówią, że przecież każdy człowiek powinien mieć swój dach nad głową i może także — skromne półko do uprawy, bo przecież ziemia jest taka rozległa. Ci dzielni ludzie nie znają nauki ekonomii. Nie znają tego mechanizmu, tak korzystnego dla jednostek, wierzą, że wszystko powinno być wspólne, tak jak za pierwszych wieków chrześcijaństwa. Marzenie tak mało zgodne z rzeczywistością, skoro widzimy nawet **księży — właścicielami!** i to bardziej nieubłaganych niż inni. Czy słyszysz to o Jezu! **Księża właścicielami.** Gdybyś wrócił na ten świat, musiałbyś czynsz swój płacić z góry— jeszcze przed swoim Wcieleniem — takiemu kanonikowi lub służącemu Arcybiskupstwa, który by Ci powiedział wzywając świętego Imienia Bożego, że ma prawo za sobą i że skoro jesteś Zbawicielem posiadaczy, należy dać dobry przykład ich galernikom. Jeśli możesz ofiarować jedynie Adorację Pasterzy lub Drzewo Twego Krzyża, zostaniesz niewątpliwie i to bardzo szybko wyrzucony — możesz być tego pewny. Zostaniesz wyrzucony przez tych, którzy nazywają się Twoimi sługami i są pewni zupełnej absolucji.

Mali czy wielcy właściciele nie chcą nic wiedzieć ani o okrucieństwach ani o niesprawiedliwościach, które popełniają. Nie chcą widzieć gwałtownych łkań, które wywołują, lub krzyków rozpaczy spowodowanych własnym skąpstwem — nie chcą ich słyszeć. Jeśli mężczyźni zostają złodziejami lub mordercami, jeśli kobiety prostytuują się i prostytuują swe dzieci, wszystkie te sprawy są im obce i nie powinny za nic w świecie zakłócić im pogody ducha, jeśli tylko pieniądze z czynszów będą zebrane punktualnie. Praktyki religijne, te zabezpieczenie z góry, powodują u niektórych tylko większą zatwardziałość podpierając granitowe kolumny ich egoizmu.

Istnieją stowarzyszenia lub bractwa parafialne właścicieli chrześcijańskich; ci znów przygotowują sobie w ten sposób przyszłe i stałe mieszkanie w niebie, gdzie nikt nie będzie miał ochoty im towarzyszyć. Niech Bóg zlituje się nad nieszczęśnikami, którzy żyją we własnych domach!

Współczesny właściciel jest to istota dziwaczna, jego realnej potworności tylko z przyzwyczajenia nie dostrzegamy. Zrodzony z fikcji legalności, w istocie towar wysortowany i niepotrzebny, lecz powołujący się stale na wielkie zasady Porządku i Sprawiedliwości, posiadacz jest najstraszliwszym wrogiem Rodziny. Stare słowo tak wzruszające i tak miłe jak **ognisko** domowe, nie ma już sensu. Spis przedsiębiorców przeprowadzek zastąpił **księgę mądrości** rodzin patriarchalnych starej Francji. Kochane stare ongdajsze mury domów będące poprzez całe generacje świadkami radości i bólów istot tej samej krwi i chwalących tego samego Boga przestały istnieć lub nie należą do nikogo, gdyż sam właściciel jest już tylko niglistą larwą, koszmarem zmiennym i płynnym, otoczony notariuszami i karawaniarzami. Wasze drogie meble z patyną lat, o ile wam jeszcze pozostały, są dotykane i smarowane niegodnymi rękami, przy każdej zmianie mieszkania. Lecz kto dziś w ogóle posiada cokolwiek, a wkrótce któż będzie mógł pochwalić się choćby grobem w miejscu stałym: że też nie uprzykrzyło się ziemi jeszcze nosić to pokolenie tak ruchliwe? Oddalać biednych od centrum miast to znaczy nie dopuszczać dopływu krwi do serca! Jeśli Bóg pozwoli na spełnienie takiego samobójstwa, to będzie koniec samym właścicielom, koniec bogatym i biednym, koniec wszystkiego a początek zgnilizny powszechnej. Duch Boży uniesie się nad wodami rozpływającej się ludzkości.

I tak musi się stać. Nic nie chciałaś wiedzieć, Ty piękna damo toczona przez robaki i Ty godny jej małżonku, także nie chciałeś wiedzieć o niczym.

A oto, moi drodzy, stanie się inaczej, właśnie dowiecie się wszystkiego w jednej tysiącznej sekundy! Wiedzą waszą straszliwie uniwersalną, straszliwie niepowetowaną — będzie po prostu Oko Boże, spojrzenie Oka Bożego, które zaciąży na was na całą wieczność!

Leon Bloy

---

*) Przed dwoma laty, dokładnie 9.XI.1907 r. Syndykat właścicieli nieruchomości miasta Paryża kierując apel **do artystów (!) ogłosił konkurs** na kompozycję dyplomu i medalu lub plakatu (!) jako nagrody dla lokatorów i zasłużonych (!!!) dozorców, **w ogóle dla wszystkich, którzy przysłużyli się właścicielom** (!!!).

Cynizm tego ogłoszenia drukowanego **i rozesłanego** do wszystkich artystów był niesłychany. Można to osądzić z tych paru wierszy: Temat jest wdzięczny do rozwinięcia, ponieważ **własność reprezentuje to, co jest najszlachetniejszego na świecie.** Praca (!!!!!). Ekonomia. Zapobiegawczość. Konstrukcja ze wszelkimi sztukami, które upiększają ją: Architektura, Rzeźba, Malarstwo etc. Pole jest rozległe i wyobraźnia konkursistów, którzy wezmą udział w tym turnieju artystycznym (!) będzie miała kłopot z wyborem figur i ozdób... etc.". Nie wiem, co się stało z tą farsą. Wątpię, czy znalazł się artysta dotknięty do tego stopnia ogólnym paraliżem, aby stanąć do konkursu, **lecz zdaje mi się, że** bezczelność w głupocie przekroczyła granice.

M. A. Wasilewski

DUCH

Myślę o tobie, jak o ciepłej nocy,
Stajesz się w moich oczach
I trwasz żywy.
Wzbijasz się światłem w niebo jak pędzący pocisk
I jak mgła opadasz na wilgotny moczar,
By do mnie przybyć.
Jesteś lekki i zwiewny, jak przestrzeń ulotny,
Niczym cię nie obejmę, ani cię określę,
Nie mogę cię usłyszeć, ani nawet dotknąć,
Lecz wiem, że jesteś.
Myślę o tobie jak o przyjacielu,
Stajesz się w mej istocie:
Dech płonący
I bliskością swoją serce me ośmielasz,
Myślę o tobie wtedy jakby o powrocie.
Jesteśmy mocni!

Zbigniew Kubikowski

SPRAWA JAŚKA BROWARCZUKA 2)

— Coś taki markotny?

— Dwa następne tańce będą moje? Zakłopotała się.

— Może trzeci...

Jaśka zabolały aż zaciśnięte na kancie stolika ręce.

— Weisemannowi?

— Jak ty wyglądasz, ludzie patrzą na nas. Co z tego, że Weisemannowi — zdenerwowała się. Mówiła syczącym szeptem.

Roześmiało się głośno kilku mężczyzn pod oknem, gdzie stał i Weisemann. Odwróciła się na pięcie, Weisemann wybiegł naprzeciw, przepychając się przez ludzi, znikli Jaśkowi z oczu.

— Znowu tango... czy oni, cholera, niczego innego nie mają... — myślał z trudem. Zabolała go głowa. Nalał sobie kieliszek, wypił i bokiem, pod ścianą, przemknął się ku drzwiom. Nikt go nie zatrzymywał, wszyscy tańczyli, miało to być ostatnie tango.

W przedpokoju było chłodno i pusto. Gdzieś od strony kuchni dobiegały głosy rozmów, szczękanie garnków. Okno było otwarte szeroko, stanął przy nim. Wiatr z deszczem uderzył go w twarz. Za drzwiami jęczał patefon, z lekkiego gwaru wydobywały się podniesione głosy śmiechy, zmieszane z tupotem nóg.

Wzdłuż ściany długim rzędem wisiały płaszcze. Jasiek naciągnął na siebie pelerynę i z gołą głową wyszedł na dwór. Mokre gałązki bzów biły go po twarzy. Ulicą szedł szybko, potykał się.

———

Było tak ciemno, że Jerzy stanął prawie przy furtce, zasłonięty tylko grubym pniem drzewa. Masa liściowia pluskała nad nim wsiąkającym w nią deszczem. Łomotały w ciemności gałęzie, jakby tysiące żywych stworzeń zapadło w bagno ciemności. Wiatr skakał po ulicy niewidoczny, silny, wciskał się za kołnierz, rozwiewał poły gumowej peleryny. Jerzy naciągnął silniej kaptur na głowę. Fosforyzowane wskazówki przybliżonego do oczu zegarka wskazywały dziesiątą.

Ktoś dotknął go przesuniętą przez żelazne sztachety ręką.

— Jerzy — głos Edka szarpał się na wietrze — jak oni tam będą długo siedzieć?

— Zaraz powinni wychodzić. Tss...

Ktoś szedł szybko, nierówno, przez ogród ku furtce. Pchnął ją, nie zamknął i prawie pobiegł ulicą.

— Ty, to Jasiek. Co mu się stało?

— Cholera go wie. Ale to już chyba koniec.

Jerzy poczuł w sobie lekki, wibrujący niepokój. Otrząsnął się, zaciął zęby.

W ogrodzie siedziało ich pięciu, Jerzy został na zewnątrz. Ulice były puste, tylko w głębi kotłowały się w nich jakieś wycia, szczękania, trzaskania. Deszcz wzmagał się ustawicznie i bił rozpryskującymi się strugami w jezdnię i chodniki.

Pierwszy samochód zawarczał po jakimś kwadransie. Przesunął się wolno dróżką, biegnącą koło ścieżki przez ogród. Zazgrzytała otwierana brama, białe smugi reflektorów przemknęły po drzewach i parkanie, a potem czerwone światełko z tyłu utonęło razem z hukiem motoru w deszczu. Za pierwszym samochodem przejechał drugi i trzeci, ktoś w nim wyśpiewywał pijackim dyszkantem. Czwarty przystanął przed furtką i oparł się stożkami światła na pniu dużego kasztana. Jerzy skulił się i wcisnął jak najdalej w cień. Ktoś rozmawiał, świecił latarką, kilka osób wyszło na chodnik, szofer otwierał drzwiczki. W blasku reflektorów błysnęły szkła binokli i biada, pociągła twarz.

Jerzy wzdrygnął się na całym ciele. (Weisemann, tutaj, u Letzkich!). W jednej chwili przebiegł przez niego, jak iskra elektryczna, splot skłębionych przypomnień.

(Mdłe światło naftowej lampy w brudnej, chłopskiej izbie. Leżący na ziemi, skrępowany oficer niemiecki. Zdawał się nieprzytomny, ale okazało się, że patrzy na nich uważnie przez długą chwilę zza zasłaniających jego oczy szkieł. Noc była podobna, tylko jesienna. Wiatr targał okienkami stojącej na polu, daleko za wsią, chałupki. Potem zgiełk i gwałtowna ucieczka. Od wioski ciągnęły niemieckie samochody. Wybiegając z izby Jerzy strzelił do leżącego na ziemi Niemca. Zdawało mu się, że zabił).

Zimna struga wody chlasnęła go w twarz. Weisemann żegnał się ze stojącymi pod parasolem Krystyną i Letzkim, Krystynę pocałował w rękę. Pręty światła wykonały obrót, czerwone kropelki lampek wlały się w korytarz ulicy na wprost.

Zgrzytnęła zamykana brama. Ciemność, która zapadła po odjeździe ostatniego auta, była aż lepka.

Poderwał się i wysunął spod osłaniającego go drzewa. Aż się zatoczył pod naporem wiatru. Ostrożnie przełaził przez furtkę, czując pod mokrymi rękami oślizgły chłód żelaza. Na ganku zatrzasnęły się drzwi. Tuż koło Jerzego stał Edek i Marian.

— Karolko pójdzie z nami. Gdzie reszta?

Zaczernili się przed nim.

— Wacek, zostaniesz przy furtce. Trzy krótkie gwizdki i wiej, którędy chcesz. Ryży pod okna.

Wsiąkł między drzewami.

— Idziemy.

Chrupał pod nogami mokry żwir. Nisko wisiały orosiałe gałązki krzaków.

Jerzemu przyszła nagle na myśl Krystyna.

(Rok temu, w taki właśnie wieczór odprowadzał ją do domu. Było to gdzieś na miesiąc przed objęciem przez Letzkiego nowej funkcji, i ich zerwaniem. Nie chciała go puścić, usiedli na ławce pod oknami, przykryci jedną peleryną).

— Stój, Jerzy!

Niskie schody na ganek, chłodna, metalowa klamka. Stali, przyciśnięci do siebie ramionami, odbezpieczali pistolety.

Deszcz ustawał.

— Edek, zobacz po lewej stronie, tu nie ma dzwonka!

Błysk latarki połączył się z wściekłym sykiem Jerzego.

— Zgaś!

— Dzwonię.

— Tylko krótko.

— Jeszcze raz.

— Idiota?

— Sam idiota.

— No, no...

Słychać było jak trzaskały drzwi w środku i ktoś zapalał światło.

— Kto tam?

Jerzy szukał gorączkowo w pamięci.

— Weisemann.

Szczęknął klucz w zamku, drzwi uchyliły się. Na progu stanęła Krystyna. Jej uśmiech zaczął nagle gasnąć, oczy rozszerzać się.

— Mołczat!

Lufa pistoletu dotknęła niemal jej piersi. Wpadli do środka w ociekających wodą gumowych pelerynach, z nasuniętymi na twarz kapturami. Edek zamknął drzwi na klucz. Marian podszedł parę kroków korytarzem w stronę kuchni, nadsłuchiwał.

Krystyna wysoko podniosła obie ręce. Jąkała:

— Co... co takiego...

Niecierpliwym ruchem Jerzy kazał się jej odwrócić i trącając lufą pistoletu w plecy popychał naprzód.

— Letzkiej? — spytał szeptem.

Machinalnie pokazała ręką.

— Tam.

Weszli cicho do pustego pokoju, Edek i Karolko tuż za nimi, Marian na końcu, został przy drzwiach. Poprzewracane krzesła walały się pod ścianami, patefon tkwił w kącie czarną czeluść głośnika obracając ku wchodzącym. Za drzwiami w gabinecie Letzkiego słychać było głosy. Jerzy zatrzymał Krystynę ruchem ręki.

— Wańka — kiwnął na Mariana. Marian ujął Krystynę za rękę i cofnął się z nią pod ścianę. Rękami do góry, twarzą do ściany, tłumiła płacz, podchodzący falą do gardła, trzęsły się jej ramiona.

Jerzy kopnięciem otworzył drzwi od gabinetu. Letzky, tylko w koszuli siedział przy biurku, rozmawiając z żoną.

— Tichońko... ruki w wierch!

Oboje zamarli, przed zbladłymi twarzami snuł się dymek z niedawno zapalonych papierosów.

— Jacy śmieszni są przerażeni ludzie... — mimowolnie pomyślał Jerzy. Z zesztywniałych palców Letzkiego papieros wypadł na biurko, rozsypując dymiący wachlarzyk popiołu. Jerzy podszedł do telefonu, wyszarpnął lewą ręką drut, Edek szybko, pewnymi ruchami poprzecinał. Karolko zbliżył się niezgrabnie do Letzkiej. Na lśniącej posadzce zostawiał mokre, błotniste ślady.

— Nie boj sia. Nu, stupaj! — pociągnął ją za rękę.

— Mołczat!

Przytknął jej lufę do czoła. Otworzyła usta do histerycznego krzyku i z tak otworzonymi ustami dała się wyprowadzić.

— Pa-panowie — odzyskał głos Letzky. Wstał z podniesionymi, trzęsącymi się rękami. — Towarzyszczi...

Zaskrzypiały drzwi, Karolko wrócił i zamknął je dokładnie za sobą.

— Dawaj poskorieje.

Chwycili go z dwóch stron, Karolko wetknął mu w usta kłębek grubego filcu. Na biurku dopalał się papieros, snując gęstym, lepkim dymkiem po zielonej teczce w skórzanej oprawie. Na półce, za biurkiem stały książki. Jerzy ślizgał się wzrokiem po grzbietach i tytułach. Jakieś niemieckie statystyki. Pełne wydanie Szewczenki.

Letzky leżał już na podłodze bez koszuli, z rękami związanymi w tył. Karolko wyciągnął z kieszeni rzemienną dyscyplinę. Przekrwione oczki starego człowieka zdawały się wybiegać z orbit, wysadzone w jakimś rozpaczliwym skurczu. Biała skóra na plecach drgała i prężyła się, obciągnięta na widocznych doskonale, niebieskawych żebrach. Jerzy wyjął małą karteczkę i przeczytał niskim głosem rosyjski tekst.

Skończywszy zmiął kartkę w rękach i dał znak Karolkowi. Stanęli z Edkiem przy oknie, odwróceni plecami do pokoju. Zapalili pochwycone z biurka papierosy. Pierwsze razy splotły się z głuchym, zwierzęcym jękiem bitego. Stojący koło Jerzego Edek zauważył charakterystyczny, nerwowy skurcz jego warg. Zapłakały głośno w drugim pokoju kobiety.

Wyszli z gabinetu szybko, nie patrząc na chrapiącego krótko Letzkiego. Marian stał dalej przy drzwiach, szachując rewolwerem spazmujące pod ścianą Krystynę i Letzką. Lufami popchnęli je ku gabinetowi. Rzuciły się do leżącego na dywanie Letzkiego, ale Karolko odepchnął je brutalnie.

— Czerez poł czas nie wychodit odsiuda. Budiam bierehti. —

Jerzy krótkim gestem dał znak odejścia. Wyszli, zamykając drzwi na klucz. W przedpokoju była cisza, tylko gdzieś z kuchni dobiegały stłumione śmiechy. Deszcz ustał. Jerzy zamknął wejściowe drzwi i oba klucze, z gabinetu i ten rzucił między krzaki. Tuż przy nich wyrosła sylwetka Ryżego. Pobiegli w pięciu ścieżką. Marian odłączył się od nich już na ulicy.

Skręcili w prawo, szli przez wieś szybko, milcząc. Jerzy poganiał ich niecierpliwie, kiedy ustawali, obaj z Edkiem prawie biegli, trzymając się za poły peleryn. Z góry biły po twarzach oślizgłe, długie gałęzie drzew, kiedy któryś zostawał w tyle, przystawali, żeby go nie zgubić. Potykali się na łebkach kamieni i błotnistych kałużach.

Zwolnili przed samą osadą. Znowu zaczął padać deszcz.

———

Jasiek Browarczuk i Rysiek Kitowicz siedzieli przy obitym ceratą stole. Było późno, coraz później, dolewali sobie kieliszki, pili. Ogromne cienie snuły się po ścianach, osłaniały nad stołami i bufetem. Lampa świeciła się równo, o szkło obijały się ćmy. W porozpinanych koszulach, oparci na stole łokciami, zwierzali się sobie ciężkim, pijackim szeptem. Jasiek gładził dłonią rozmierzwione włosy.

— Szlag trafi — sapał — fajno tak czasem... Co ty, nie za dużo wypił?—

W okna walił pięścią wiatr, cienkimi strugami wlewał się do kominów i świdrował w nich z wysokim chichotem.

Rysiek popatrzył przekrwionymi oczami.

— Co bredzisz?

— Napijmy się.

— Lu, cholera...

Knot zaczął skwierczeć, płomień skurczył się, potem nagle wyrósł i dalej palił się równo. Naleli do szklanek. Rysiek pił ze stołu, przechylając szklankę i rozchlapując wódkę na ubranie. Ogarniało ich pijackie rozrzewnienie.

— Biedni my, Rysiek, — prawie zachlipał Jasiek — ale nie, żeby ot... — urwał, zaciął się. Położył głowę na rękach.

W pustej izbie słychać było tylko ich niespokojne przerywane oddechy.

— Czas mnie iść — stęknął Rysiek.

— Zostań — Jasiek objął go ramieniem przez stół — zostań bracie, prześpisz się u mnie.

— Ot, psie życie...

— Napijmy się.

— Lu...

Monotonnie szczękał zegar nad bufetem.

— Wiesz ty, szlag niech trafi wszystko...

— A, drańskie świństwo, mówię ci...

Mruczeli obaj sennie, nie słuchając się nawzajem.

— Chodź spać.

Jasiek próbował się podnieść.

— Chodźmy, ale weź butelkę.

Zaczął pakować do kieszeni szklanki, Jasiek butelkę. Nawet jej nie zakorkował. Kiedy wstali, cienie skoczyły na nich, jak zaczajone zwierzęta. Nie zgasili lampy, objąwszy się w pół szli do bufetu, roztrącając stoły, potykając się i przewracając na krzesłach.

— Stara... stara się zbudzi — błysnęło w świadomości Jaśka.

— Co stara, jeszcze nie za stara... z nami się napije...

Oparli się ciężko o chłodny kontuar. Ledwo zeszli po schodkach. W kuchni było ciemno tylko z sali siało się nikłe światło i wyciągało z mroku jaśniejsze kanty stołu ze suszącym się naczyniem. Na schody wchodzili prawie na czworakach. Zegar bił dwunastą. Zwalili się na łóżko w ubraniach, potem w nocy jeszcze pili.

W pustej sali dogasała lampa a w ściany domu bił zimny, wilgotny wiatr.

NIC NOWEGO

Jaśka bolała głowa i piekły nieznośnie oczy. Wyszedł z domu wcześnie, bardzo wcześnie i długo błądził po ulicach. Kiedy stanął przed czerwoną fasadą urzędu, żelazna brama była jeszcze zamknięta. Wyglądała jak szary, prostokątny plaster, nalepiony na czerwoną pijacką twarz.

Zastukał silnie. Klucz szczęknął w zamku, w szparze ukazała się pomarszczona twarz woźnego. Otworzył bramę bez słowa, a kiedy Jasiek minąwszy go, wyciągnął już re-

Ś † P

Ksawery PRUSZYŃSKI

W dniu 13 czerwca br. uległ śmiertelnemu wypadkowi samochodowemu w drodze z Hagi do Warszawy znakomity literat i publicysta Ksawery Pruszyński. Donosząc o tym z najgłębszym żalem naszym Czytelnikom, jednocześnie powiadamiamy, że w najbliższym czasie poświęcimy zmarłemu autorowi „Czerwonej Hiszpanii" i „Karabeli z Meszechedu" szereg publikacji.

Redakcja.

kę, żeby pchnąć oszklone drzwi na korytarz, powiedział starczym, załamującym się głosem.

— Panie Browarczuk, pan kierownik prosił, żebyście przyszli do niego do domu.

— Zaraz?

Jasiek zastygł w półobrocie z wyciągniętą ręką.

— Zaraz.

Zamknął bramę wielkim kluczem, wyłuskanym z pęku innych i stękając poczłapał do swojego pokoju

Jasiek stał niezdecydowany. Odwrócił się na pięcie.

— Panie Zeleniuk — krzyknął rozgniewany — czemu pan zamyka bramę, kiedy mam iść do kierownika.

W małym pokoju służbowym zatrzeszczało krzesło, a po chwili Zeleniuk wyszedł przygarbiony, pobrzękując kluczami i trzęsącymi się ze starości rękami znowu otwierał bramę.

Koło chodnika stała niska, wymoszczona słomą fura. Konie gmerały w płóciennym, zawieszonym na dyszlu worku, oblepionymi sieczką pyskami

Przed domem Letzkiego stały dwa czarne, długie, samochody.

— Co za cholera? — pomyślał Jasiek, ale nie zastanawiał się nad tym dłużej, tylko przebiegłszy ogród zadzwonił krótko i silnie do drzwi wejściowych. Zaszurgotał łańcuch drzwi otworzyła służąca.

— Pan Letzky w domu?

— W domu.

Odstąpiła krok, żeby go przepuścić i zapytała

— Pan w jakiej sprawie?

Popatrzył na nią zdziwiony.

— Kierownik mówił żeby przyjść

— Pójdę zapytać.

Jasiek wzruszył ramionami i oparł się o ścianę Dziewczyna odeszła szeleszcząc spódnicą. Po chwili wróciła

— Pan kierownik prosi.

Poszedł. Pokój w którym tańczyli był już wysprzątany, drzwi na taras szeroko otwarte.

Zapukał energicznie.

— Proszę.

Wszedł szybko i przy drzwiach momentalnie stanął.

— Co panu, panie kierowniku — wyjąkał.

Letzky siedział za biurkiem w luźnej bluzie od piżamy, postarzały i skurczony. W pokoju szaro było od dymu papierosów. Przy oknie stała Krystyna i Weisemann, dwóch gestapowców w lśniących, szaroczarnych mundurach, spacerowało miarowym krokiem od ściany do ściany, bijąc się szpicrutami po błyszczących butach.

Weisemann podszedł do stojącego przy drzwiach Jaśka.

— A, pan... Browarczuk. Czekamy na pana.

— Widzi pan, jak mnie urządzili? spytał Letzky. Usiłował zapalić sobie papierosa, zapałki gasły ustawicznie, jeden z gestapowców podsunął mu płomyk zapalniczki.

Jasiek tymczasem opanował się i przywitał ze wszystkimi. Czuł nerwową atmosferę pokoju.

— Co się stało? — zapytał po raz drugi.

— Niech pan zobaczy — Letzky odsunął z szyi kołnierza bluzki — wczoraj po przyjęciu.

Jasiek cofnął się mimowoli. Sina skóra na plecach, zczerniała w kilku miejscach owinięta była rzadko bandażami Każdy ruch musiał być bardzo bolesny bo co chwila blade wargi Letzkiego kurczyły się nerwowo

— Kto kto taki...

— Partyzanci rosyjscy — wolno i jakby ironiczne powiedział Weisemann.

Jasiek odwrócił się ku niemu i napotkał spojrzenie jego zimnych przyczajonych oczu.

— Partyzanci rosyjscy? — powtórzył zdziwiony.

Nagle jasno, zupełnie jasno ujrzał całą prawdę. („A ty jak myślisz, co my możemy zrobić Letzkiemu?“). Równocześnie skądsiś, z głębi tych przypomnień, wypłynął wąską strużką strach i wolno rozpływał się po ciele.

— Pan zbladł. —

Jeden z Niemców stanął przed

Jaśkiem w rozkroku. Ten cofnął się mimowoli.

— Ktoby się spodziewał... — wybąkał.

I teraz dopiero zauważył zupełnie wyraźnie Krystynę. Stała przy oknie, oparta o futrynę. Spostrzegł niezdrową, bladą cerę jej twarzy i głębokie cienie pod oczami. Dziwna rzecz, ten widok wrócił mu pewność siebie, pozwolił na chwilę zapomnieć o strachu i wyjaśnić mocno niepewną sytuację, w której się niespodziewanie znalazł. Wzruszył ramionami.

— Jak się nie dziwić, wczoraj wszystko było w porządku — powiedział spokojnie — kto się mógł spodziewać. Jak to było?

— Niech mnie pan nie zmusza do opowiadania — jęknął Letzky — oni panu opowiedzą.

— Pan wczoraj wcześnie wyszedł, prawda? — zapytał znowu ten sam Niemiec siadając na krześle. Założył niedbale nogę na nogę.

— Tak.

Strach minął Jaśkowi zupełnie. Spostrzegł stojące obok wolne krzesło i bez zaproszenie usiadł.

— A właściwie to na co ja tu jestem potrzebny? — zapytał.

Widział, że jego spokój robi swoje. Weisemann wyciągnął papierośnicę.

— Zapali pan?

Przez chwilę panowało milczenie Brzęczały muchy. Krystyna spojrzała prosząco na Weisemanna.

— Można wyjść, prawda? Nie jestem już potrzebna?

Poderwał się.

Wyjdziemy razem, może z panem Browarczukiem. Spacer pani dobrze zrobi. A koledzy skończą swoje.

Jasiek wstał chętnie i wyszli w trójkę przez duży pokój na taras. Stali przez chwilę w milczeniu przy balustradzie i w takim samym milczeniu zeszli po płaskich schodach na żwirowany placyk, otaczający równym okręgiem betonową fontannę. Krystyna nagle zwróciła się do Jaśka, przysunęła się do niego.

— Jasiek, Jasiek, żebyś ty wiedział... — urwała, widać było, że zbiera się jej na płacz.

Była wybladła i miała podkrążone oczy. Nie odpowiedział nic, usiedli na niskiej ławce pod drzewem. Pierwszy odezwał się Jasiek. Mówił do Weisemanna.

— To pan nie wie po co mnie wołali?

Zapytany uśmiechnął się blado. Spojrzał nagle na Jaśka.

— Ja prowadzę śledztwo — powiedział leniwie. Ziewnął i spojrzał na zegarek.

— Myślałem, że pan może zauważył koło domu coś ciekawego, kiedy pan wychodził. Musieli gdzieś przed domem czekać.

— Nic nie widziałem. Był deszcz...

— No cóż, byłem przekonany, ale to konieczna formalność.

— Niby tak... — bąknął Jasiek. Wsparł głowę na rękach. Posyłał głos Weisemanna.

— No cóż, panno Krystyno, jak się pani czuje?

— Dobrze — odpowiedziała spokojnie — dzień, dwa, ojcu przejdzie, tylko teraz tak jakoś...

— To nic, to zrozumiałe.

— Może już pójdziemy? — podniósł się po chwili.

Kiedy wchodzili na schody rzucił przez ramię do Jaśka.

— Czy myśmy się już kiedyś nie widzieli?

Jasiek poczuł dziwny bezwład w nogach. Ale odpowiedział od razu cicho i niewyraźnie::

— Nie przypominam sobie.

(Rzeczywiście jeszcze sobie nie przypominał).

Minąwszy niskiego, czerwonego grubasa, Jasiek pchnął oszklone drzwi i wszedł do środka. Wnętrze restauracji było niemal puste i dlatego zobaczył od razu przy stoliku w kącie Hildę. Była bledsza nieco, niż wczoraj, zato bardziej wymalowana. Siedziała nad nie zaczętą filiżanką kawy.

— Przyszłam trochę wcześniej — powiedziała, kiedy się witali — właściwie to jest jedyna moja rozrywka.

Jasiek usiadł ostrożnie i zamówił kawę.

— Od dzisiaj będzie pani miała trochę więcej rozrywek, co?

Zaśmiała się.

— Tylko poto na pana czekałam.

Przez dużą, czysto wymytą szybę błyskało słońce i kładło się czerwonymi refleksami na orzechowe stoliki, wyścielane fotele i jasne obicia ścian. Nad bufetem wisiał głośnik, zachrobotał jakąś zapowiedź Szeptali kelnerzy.

— No to co mi pan pokaże dzisiaj? — zapytała Hilda

— Ja wiem?.— wzruszył ramionami — chyba stawy, albo kościół...

— Kościół? — skrzywiła się pogardliwie.

— To stary kościół, podziemia ma. Wychodzą gdzieś za miastem, zdaje się, że w skałach za cukrownią.

— To daleko?

— Parę kilometrów.

— O, to ciekawe — podniosła oczy — strasznie lubię podziemia.

Mężczyzna w jasnym garniturze, siedzący obok, zapalił papierosa dalej słuchał uważnie. Jakiś młody chłopak odszedł od kontuaru, przy którym rozmawiał z kelnerami i stanął przy jego stoliku.

— Panie Romański — powiedział cicho — ta ja przyjdę wieczorem.

Romański skinął głową i podał chłopcu rękę.

— Zrobimy wycieczkę, w te podziemia, dobrze? Z Herbertem.

— Ale to już chyba nie dzisiaj...— Jasiek zniżył niepewnie głos. Pochyliła się ku niemu, naciskając go pod stołem kolanami.

— Skądże, teraz jesteśmy sami przejdziemy się...

Jakoś nagle Jasiek przypomniał sobie Krystynę (Krystyna jest za ładna, żeby się miała brać za takie sposoby).

Wstał i zapłacił za kawę.

— Wyjdziemy? — zapytał.

Hilda narzuciła żakiet na ramiona i wzięła Jaśka pod rękę. Wyszli, odprowadzani uważnym spojrzeniem Romańskiego. Przez chwilę w sali restauracyjnej było cicho Głośnik zachrobotał i znowu zaczął szczekać jakąś niemiecką zapowiedź. Z wieży bliskiego kościoła zegar wybił szóstą. Przed szybą restauracyjną, pokrytą u góry złotymi rzędami liter, przeszedł ktoś wolno, pchnął drzwi i stanął na progu. Romański podniósł rękę.

— Spóźnia się pan.

— Prawie biegłem, to chyba wystarczy. Napijemy się kawy?

— Chyba. Pali pan?

— Co słychać?

— To ja chciałem spytać. Jak tam wczoraj?

— To potem. Widział pan może Browarczuka? Szedł z tej strony.

— Widziałem. Nie był sam.

— Z Niemką?

— Tak. Siostrą tego pańskiego Weisemanna.

— Ach, to jego siostra...

Romański uśmiechnął się.

— I wie pan co? Chcą zwiedzić podziemia kościoła. Z braciszkiem, cholera...

Jerzy podniósł oczy i spojrzał krótko na Romańskiego.

— Na pewno się rozmyślą — mruknął — za dobrze by było...

Z głośnika spłynął na salę lekki, wiedeński walc.

Romański założył nogę na nogę podciągając zaprasowane spodnie Pochylił się ku Jerzemu.

— Pójdziemy do Czyńca?

— No, pewnie.

— Nie popijaliście panowie wczoraj?

— Jakoś nie, ale możeby tak teraz kieliszeczek, co?

Kelner postawił na stoliku dwie filiżanki kawy. Był w białej, mocno przybrudzonej bluzce, z górnej kieszeni wyglądał ostro zatemperowany ołówek.

— Wstąpimy potem do mnie, mam młodą nalewkę, dobrze?

— A dostanie się pan do niej?

— Żony nie ma, jakoś się dobierzemy

Roześmieli się.

— Wobec tego szkoda czasu. Chodźmy.

Niebo było czyste seledynowe. Ulicą ciągnęły fury przy chodniku stała niewielka ciężarówka, naładowana czarnymi beczkami. Na błotniku siedział brudny szofer i zwijał papierosa Wiał lekki wiatr

---

U Romańskiego Jerzy zastał Edka i razem wyszli. Na ulicy leżał kurz, przejeżdżające fury pokrywały się całe szarymi obłoczkami. Dopiero za śródmieściem powietrze było czyste, po chodnikach biegały dzieci, wrzeszczały. Dwóch na pół nagich chłopców przysiadło na krewężniku koło jezdni, przed zeschniętą trawą skweru, porzniętego czarnymi liniami, grali w noże.

— Wiesz, ciekawa rzecz, co Czyniec mówił. Zanim wyście nie przyszli z Romańskim.

— Ciekawy jestem, co on mógł w ogóle na ten temat mówić. Nie zdaje ci się, że on czasami wyrasta ze swojej sutanny?

— Ma bardzo czynną naturę. Żałował, że nie mógł z nami pójść.

Roześmieli się. Jerzy spoważniał

— Dziękuję za przyjemność.

— I ja. Cholera jasna, Jerzy, mnie diabli brali, wyobrażam sobie co się z tobą musiało dziać.

— Wiedziałem, że sobie wyobrażasz. Zawsze człowiekowi lżej.

— To i dobrze.

— Patrz, stary. To nie Rysiek?

— Dobrze, że jest. To on.

— Pewnie, że dobrze. Uuch...

Z góry, naprzeciw nich, schodził Rysiek Kitowicz, nierównym krokiem. Kopał nogami małe kamyczki, leżące na chodniku, przystawał, kiedy mu wpadały na trawnik, wydobywał je z tamtąd końcem buta. Kiedy Jerzy i Edek zbliżyli się do niego, podniósł głowę i mruknął niepotrzebnie.

— To wy?

— Jak się masz.

— Czołem.

Przywitali się.

— Śpieszysz się gdzieś?

— Abo co?

— Możesz przejść z nami kawałek?

— Chodźcie.

Od razu sam zaczął.

— Słuchajcie, chłopaki, było coś wczoraj?

Jerzy i Edek popatrzyli na siebie.

— Tak — mruknął Edek

— Aha... — zamilkł na chwilę, szedł przy nich dużymi krokami.

— Rysiek — powiedział Jerzy — żaden z nas nie lubi głupich sytuacji, sam dobrze wiesz, jak powinno być. Nam nie chodzi o to, żeś ty poszedł w sobotę do kina a u Witka zrobiłeś awanturę...

Przerwał mu.

— Czekaj, Jerzy, coś powiem. Ja też chce, żeby wszystko postawić jasno. Przede wszystkim powiem wam jedno. Byłem w sobotę idiota i przepraszam cię za tą awanturę.

Spuścił głowę, nie patrzył na nich. Edek uderzył go lekko po ramieniu.

— Jak tak, to w porządku. Teraz możemy spokojnie mówić.

— No, ja myślę. Słuchaj, Rysiek, nie chcę się mieszać do twoich prywatnych spraw, ale to była wina Krzyśka.

— Mów — bąknął niewyraźnie — to każdy wie.

Furą, podskakującą na wybojach drogi jechało kilku parobków, widać pili, bo podśpiewywali fałszywie. Skręcili zaraz w prawo, w dół, między drzewa i wjechali w niską bramę Liegenschaftu.

— No, to jasno. Skończyłeś z Krzyśką?

Spuścił głowę jeszcze niżej.

— Skończyłem. Ale chcę wyjechać.

Umilkli. Edek mruknął po chwili.

— No co, jeźdź... rozumiem cię.

— Co tam będziesz robił?

— Mam rodzinę. A jakieś kontakty to mi chyba dacie...

Stanęli nagle na rogu, przy załamaniu żółtego, chropowatego muru, otaczającego Liegenschaft. Jeździł przeleciał jakiś motocyklista, ciągnął za sobą długą smugę kurzu.

— Jestem szczery, Rysiek, żal ciebie, bośmy się zżyli i dużośmy razem zrobili. Ale tak chyba będzie dla ciebie lepiej...

— No widzisz, ja też tak myślę...

— Tak...

— To ja do was przyjdę jeszcze pożegnać się i w ogóle... Tymczasem czołem, wrócę do miasta.

— To przychodź. Cześć.

— Trzymaj się.

Stali jeszcze chwilę, patrząc za nim.

— Żal mi go... — burknął Edek

Odwrócili się i poszli. Chodnik się skończył, zboczyli na polną drogę biegnącą wzdłuż szosy stanisławowskiej, nad polem, opadającym ku dołowi jaru i mętnej wodzie dworskiego stawu. Gdzieś w środku rozmowy Edek powiedział.

— No co robić, szkoda Ryśka. Może i lepiej...

Jerzy uśmiechnął się.

— Dobrze, że się tylko na tym skończyło. Mogło być gorzej...

Wyszli na gościniec, skręcili w stronę cukrowni.

Około siódmej Jasiek i Hilda wchodzili do domu Letzkich, gdzie miał być i Weisemann. Milczeli oboje, ale każde z innego powodu. Hilda była zła. Ten na pozór łatwy do zdobycia, przystojny chłopiec nie odtrącił jej wprawdzie, ale też nie dopuścił do żadnego zbliżenia, a kiedy wręcz się go zapytała, dlaczego tak właśnie postępuje, powiedział, że jest zajęty inną. Wyraził się zresztą inaczej. (Pewnie tą Letzką, też!).

Zato Jasiek (o dziwo!) czuł zadowolenie. Zupełnie niespodziewanie dla siebie samego i pewnie pierwszy raz w życiu sprzeniewierzył się swojej najświętszej zasadzie nie pomijania żadnej okazji, a co ważniejsze, przybliżało to mu Krystynę.

Otworzyła im dziewczyna w krótkiej ponad kolana sukience. Weszli do przedpokoju. Hilda zdjęła płaszcz, czesała się przed lustrem Trzasnęły drzwi, weszła Krystyna. Miała już lekkie rumieńce, w ogóle wyglądała lepiej, niż rano. Przywitała się z nimi, rękę Jaśka przytrzymała dłużej.

— Ojciec chce, żebyśmy razem pojechali bryczką do Gwoździca, do naszych krewnych — powiedziała.

Jasiek rozjaśnił się.

— To fajno, nie?

— Pewnie, że fajno. No co, już się nie złościsz, jak wczoraj? Och, ty...

Hilda weszła pierwsza do pokoju, Jasiek przytrzymał Krystynę, pocałował.

Letzky siedział w szlafroku, jak rano, Letzka na głębokim fotelu pod oknem. Weisemann przy niej. Rozmawiali z Hilda.

Po kolacji Jasiek poszedł z Krystyną do jej pokoju. Hilda z pozornym ożywieniem rozmawiała Letzkim, zdawała się nawet nie spostrzegać, że wyszli.

Krystyna usiadła na kanapie, Jasiek przy niej, objął ją i przechylił. Po jakimś czasie powiedziała.

— Wiesz, ojciec się wypytywał dzisiaj o ciebie...

— Czego chciał?

— No, w ogóle. Mówi, że ciebie lubi.

— A matka?

— Matka się nie liczy. A czego pytasz?

Zamilkł, bąknął.

— Tak sobie...

Roześmiała się.

— No nic, będzie dobrze.

Nagle się ośmielił. (Przygotowywał to sobie przez parę godzin, w czasie całego spaceru z Hildą).

— Bo widzisz, Krzyśka, ja już, rozumiesz, nie mogę... Albo, albo, wiesz...

Odsunęła się trochę od niego.

— O co ci chodzi?

Brnął dalej.

— Krzyśka, ja ciebie kocham. Albo się z tobą zaręczę, albo...

Trochę dziwnie to brzmiało w jego ustach, ale widać było, że mówi szczerze. Roześmiała się jeszcze raz, znowu przysunęła się bliżej. Nie widział wyraźnie jej twarzy, ale czuł oddech.

— Śmieszny jesteś. To co, ty się oświadczasz?

— A po co mówiłaś, że mnie ojciec lubi?

Poczuł, że się czerwieni, jąkał się.

— A ojcu to powiesz?

— A... a ty?

WNĘTRZE I WYSTAWA
WARSZAWA PL. GRZYBOWSKI 2
PROJEKTUJE I WYKONYWA
WNĘTRZA I WYSTAWY

— No, powiedz ojcu. Naprawdę cię lubi.

Po kwadransie zapytała.

— No i co, warto było tak się wczoraj awanturować?

Siedział prawie oniemiały, bąkał:

— Krzyśka, ja był głupi...

Popatrzyła na zegarek.

— Trzeba iść — powiedziała — już po dziewiątej.

Kiedy wychodzili, Weisemann z Hildą szli przodem, Jasiek z Krystyną za nimi. Z Weisemannem Jasiek dużo rozmawiał przy kolacji. Robił z Letzkim wesołe aluzje do stosunku Jaśka do Krystyny, raczej z życzliwą pobłażliwością, niż ze złośliwością, tak że Jasiek czuł się chwilami zupełnie uspokojony. Było już prawie zupełnie ciemno. Jasiek objął Krystynę w pół, puścił dopiero przy furtce. Tam pożegnali się ostatecznie i Weisemann zaprosił Jaśka do samochodu.

— Podwieziemy pana — powiedział.

Jasiek zgodził się z pewnym wahaniem.

Obawiał się agresywności Hildy, a poza tym Weisemann budził w nim jednak ciągle, wprawdzie coraz mniejszy, ale zawsze przykry niepokój.

Jechali w milczeniu i innymi ulicami, na co Jasiek nie zwrócił uwagi, zatopiony w swoich pogodnych myślach. Ocknął go dopiero pisk hamulców. Podniósł głowę. Stali przed

szarą fasadą budynku Gestapo. Nie zdziwił się, tylko przestraszyła go myśl, że zostanie sam z Hildą. Ale Weisemann, wysiadłszy, powiedział:

— Pojedziesz do domu, Hildo. My tu mamy jeszcze coś do załatwienia.

Niedaleko, na rogu, chrypiał jakąś melodią megafon. Po chodniku, przed budynkiem, miarowym krokiem przechadzał się żołnierz.

— Do widzenia, Hildo — powiedział Jasiek, wysiadając z samochodu.

Uśmiechnęła się.

— Chyba jeszcze wpadniesz dzisiaj do nas. Herbert, przywieziesz Jaśka?

Skinął głową.

— Oczywiście.

Ten uśmiech i słowa dodały Jaśkowi otuchy. Zatrzasnął drzwiczki samochodu, odwrócił się na pięcie i wszedł za Weisemannem płaskimi schodami do ciemnej sieni posądowego budynku.

— Proszę — rzucił krótko.

Jasiek wszedł i stanął. Weisemann zapalił światło, zamknął za sobą starannie drzwi.

— Niech pan siada.

Mówił zimno, nieprzyjemnie. Jasiek usiadł, zacisnął zęby i czekał. Weisemann zapalił papierosa.

— A teraz — rzekł, nie siadając — niech pan mówi.

Jasiek podniósł wysoko brwi, gdzieś i kiedyś wyuczonym ruchem

— Co mam mówić?

— To trzeba przypominać? O Czernelicy, do diabła, o małej chatce za Czernelicą, rok temu, nie pamiętasz, co?

Jasiek zerwał się z krzesła. Przypomniał sobie. Poczuł bezwład w nogach i usiadł znowu.

Mimowolnie spojrzał na zegar. Wskazywał dziesiątą. (D. c. n.)

James G. Endicott **tłum. Wanda Urstein**

Odpowiedzialność chrześcijaństwa za świat kolonialny

(Dr. James G. Endicott duchowny protestancki. Były Misjonarz w Chinach, były Doradca Czang Kai-szeka. Przewodniczący Kanadyjskiego Kongresu Pokoju).

Świat kolonialny przeżywa obecnie okres buntu. W pewnych krajach, jak w Chinach lub Vietnamie osiągnął on stadium udanej rewolucji. Gdzie indziej jak np. na Malajach lub w Burmie toczy się rozpaczliwa walka. Przez pozostałe części Azji i całą powierzchnię Afryki przebiegają fale niepokoju zwiastujące okres poprzedzający rewolucję. Jednocześnie we wszystkich krajach znanych jako „demokracje zachodnie", które to kraje sprawują wojskową i polityczną kontrolę nad obszarami kolonialnymi działa silna propaganda, która tłumaczy narodom, że wybuchy buntu stanowią jeden z przejawów „Ekspansji Radzieckiej" i „czerwonego imperializmu". Ostatnio amerykański sekretarz stanu, jako jeden ze swoich 7 warunków pokoju ze Związkiem Radzieckim, ogłosił żądanie, aby „Związek Radziecki nie mieszał się do spraw kolonialnych".

Amerykański sekretarz stanu wygłaszając tę swoją mowę zapomniał widocznie zupełnie o tym co sam pisał w Białej Księdze Chin oraz o wielu innych swych poprzednich wypowiedziach. Pisał on na przykład:

„Rewolucja chińska była wytworem wewnętrznych sił kraju, których mimo wysiłków czynionych z naszej strony nie zdołaliśmy opanować" Nieco później wykazywał on odpowiedzialność krajów zachodnich za rewolucję chińską:

„W połowie XIX w. „chiński mur" odcinający Chiny od reszty świata został przez Zachód przerwany. Najeźdźcy ci przynieśli ze sobą zaborczość, szalony rozwój techniki zachodniej i wysokie wymagania kulturalne. ... ludzie zachodu wprowadzili nowe idee, które odegrały z kolei wielką rolę w tworzącym się wewnątrz kraju fermencie i powstających nowych ruchach... dopomogły one do puszczenia w ruch łańcucha wydarzeń, nazwanego Chińską Rewolucją".

Acheson publicznie stwierdził że reżim Czang Kai-szeka był bez nadziejnie skorumpowany. Podkreślił dalej, że w każdym razie naród chiński gardził nim i „wreszcie postanowił ignorować go". Dziś w obliczu tych wszystkich wyznań Acheson próbuje nieustannie przerzucać na Związek Radziecki odpowiedzialność za bieg wypadków w Chinach i pozostałej części Azji.

Jest rzeczą niezmiernie ważną aby wszyscy chrześcijanie oceniali właściwie kierunek propagandy amerykańskiej i przeanalizowali zarówno jej cele jak i jej metodę. Propaganda ta bowiem wywiera jeszcze ciągle poważny wpływ na światowe ruchy chrześcijańskie. Większość misjonarzy pracujących na terenie Azji to Amerykanie lub też ludzie korzystający w swej działalności z materialnej pomocy Ameryki. Wielu spośród nich pod trzymywało zawsze politykę Departamentu Stanu i często głosiło publicznie iż uważa „amerykański sposób życia" za furtkę prowadzącą do życia chrześcijańskiego.

Nie istnieje żaden rozsądny powód dla którego chrześcijanie mieliby stać się ofiarą obcej propagandy. Gdybyśmy zechcieli oprzeć się na naszych własnych wnioskach byłoby to dla nas stokroć lepiej. Istnieje przecież olbrzymi materiał informacyjny dotyczący świata kolonialnego, wydany przez odpowiedzialne źródła chrześcijańskie.

Gdyby chrześcijanie poświęcali więcej uwagi badaniu tych dokumentów nie daliby bałamucić się tak łatwo propagandzie rządu amerykańskiego czym wyrządzają wielką krzywdę sprawie misji chrześcijańskich. Poza tym, jeśli rzeczywiście leży nam na sercu dobro narodów kolonialnych, to nie mamy powodu, by nie dopomóc im w wyswobodzeniu się spod ucisku kolonializmu. Na podstawie naszych własnych doświadczeń przekonaliśmy się, że zachodzi tu potrzeba wielkich i daleko idących przemian.

Chciałbym tu pokrótce przeanalizować jeden z 8 tomów raportów zebranych przez Międzynarodową Radę Misjonarzy, zebraną w Jerozolimie. Jest to tom piąty zatytułowany „Misje chrześcijańskie w stosunku do problemów przemysłowych".

Na samym początku mamy tam ostrzeżenie głoszące że „chrześcijanie dopuścili do tego, że całe życie ekonomiczne wymknęło się spod zasad etyki chrześcijańskiej" (str. 7). Punkt ten został udowodniony bardzo obszernie. Raport cytuje Program Odbudowy Społecznej Biskupów Rzymsko-Katolickich, oparty na Encyklice Papieża Leona „Rerum Novarum" na temat „Warunków Klasy Pracującej". Encyklika ta podkreśla „niesłychaną nieudolność i marnotrawstwo w wytwarzaniu i rozprowadzaniu towarów, niedostateczne płace olbrzymiej większości pracowników, i niesłuszność wielkich dochodów dla nielicznej mniejszości uprzywilejowanych kapitalistów" (str: 13).

Następnie omawiając kolejno wszystkie kraje kolonialne raport ten wykazuje przerażająco nieludzkie oblicza imperializmu kolonialnego:

Indie.

„Jednym z najsmutniejszych objawów uprzemysłowiania Indii są straszliwe warunki mieszkaniowe robotników". Śmiertelność niemowląt dochodzi wśród ich dzieci do 66 procent. gruźlica rozwija się w zastraszającym stopniu. Nieletnie dzieci zatrudniane są w kopalniach wraz z 50.000 kobiet bez jakiejkolwiek ochrony związków zawodowych.

Chiny.

W 1928 roku w należących do Anglików i Japończyków fabrykach 6-letnie dzieci zatrudnione były po 12 godzin dziennie. Wiele dzieci sprzedawano jako rodzaj niewolników przemysłu. W 1927 Narodowa Rada Chrześcijan w Chinach, która uważana była przez większość misjonarzy za „wyraźnie krańcową" a nawet „czerwoną" nawoływała wszystkich chrześcijan „aby przyłączyli się do patriotycznego ruchu walczącego o wolność i sprawiedliwość dla robotników, odzyskanie wolności ekonomicznej kraju, i położenia tamy wszystkim formom wyzysku gospodarczego".

Indonezja.

Holender, dyrektor Crommelin powiedział co następuje:

„Zachód narzucił Wschodowi nowy system przemysłowy. Wschód orientował się bardzo dobrze, że przeważająca część dochodów płynących z tego systemu nie pozostaje w kraju. Sytuacja ta nie podobała mu się a co gorsza nabrał skłonności do indentifikowania tego typu wyzysku z chrześcijaństwem i pracą misyjną. Kościół musi zdać sobie z tego sprawę: Czy chrześcijanie mają prawo uważać, że wolno im eksploatować zacofane części świata za wszelką cenę i w każdy sposób i zwalczać sprzeciw stawiany temu wyzysko wi jeśli tego potrzeba nawet siłą? Na pytanie to istnieje tylko jedna odpowiedź i Zachód powinien wreszcie zrozumieć, że musi przegrać w każdym konflikcie, który powstaje na podłożu zwalczania wyzysku.

Ostrzeżenie takie jasno i wyraźnie było już sformułowane 20 lat temu.

Dziś właśnie nadszedł czas kiedy Zachód w tym konflikcie przegrywa. Azja zbuntowała się przeciwko niepotrzebnemu i nieludzkiemu wyzyskowi. W walce tej ludy uciśnione nie otrzymują potrzebnej im pomocy ze strony przywódców zachodnich sił chrześcijańskich lub zachodnich organizacji demokratycznych. Przeciwnie, chrześcijanie i demokraci dużo przychylniej patrzą na zwiększenie dostaw broni i amunicji dla „legalnych" władz uciskających te narody. Usprawiedliwiają swoją postawę w ten sposób, że wyolbrzymiają swój strach przed materializmem komunistycznym i godzą się z propagandą amerykańskiego Departamentu Stanu, że walki te stanowią fragment ekspansji radzieckiej.

Może łatwiej można by było wybaczyć zachodnim chrześcijanom, że popadli w ten błąd gdyby nie mieli tak olbrzymich ilości dowodów dostarczanych przez ich własne źródła a które jasno dowodzą, że sytuacja jest zupełnie inna.

Istnieje nieskończona ilość dowodów, że rewolucja chińska od roku 1911 aż do dnia dzisiejszego jest chińskim ruchem ludowym i że napotykała ona na szereg utrudniających ją przeszkód, które powinny były być usunięte. A przecież jeszcze dziś wielu chrześcijan zachodnich usprawiedliwia postępowanie Amerykanów w Chinach, Francuzów w Vietnamie i Brytyjczyków na Malajach. Moim zdaniem elementarnym obowiązkiem chrześcijan w obliczu tych wypadków jest żądać zaprzestania wojen i zawarcia porozumienia za pośrednictwem Narodów Zjednoczonych. Ale każde takie porozumienie musi prowadzić do oddania ekonomicznego i politycznego kierownictwa państwa w ręce narodu, który je zamieszkuje.

„Wydaje się bardzo prawdopodobne, że mocarstwa kolonialne nie będą chciały na takie porozumienie się zgodzić. Fakt, że światowe rynki kapitalistyczne kurczą się znacznie, a polityka dolara amerykańskiego wywiera coraz to silniejszy nacisk świadczy o tym, że nastąpi raczej znaczne uintensywnienie prowadzonej w Azji i Afryce polityki wyzysku. Stan ten wywoła z kolei wzrost natężenia walk rewolucyjnych prowadzonych przez narody kolonialne. W imię sprawiedliwości i miłości braterskiej obowiązkiem crhześcijan jest nieść pomoc ludom kolonialnym w ich walce o wolność.

tłum. Wanda Urstein

Na półkach księgarskich

Listy Gramsci'ego

Więzienie — jak i choroba — zaciekawia każdego pragnącego poszerzyć zakres swej znajomości ludzkiej natury. Jakie są przeżycia, doświadczenia, smutki, radości, jaka jest wewnętrzna i zewnętrzna postawa człowieka uwięzionego? — to będzie pytanie zawsze frapujące dla niemałej ilości ludzi. „Wspomnienia z martwego domu" Dostojewskiego są poszukiwaną lekturą; przez wielu uważane nawet za najciekawszą książkę rosyjskiego prozaika, może dlatego, że najmniej „dostojewską". Oczywiście specjalnie ciekawe są sprawozdania ze stanu psychicznego więźnia nie kryminalnego, lecz politycznego. Głównie dlatego, że osobowość „politycznych" jako nieskończenie bardziej bogata i wrażliwa, od osobowości większości przestępców „kryminalnych", „polityczni" — znacznie poważniej, głębiej, istotniej reagują na ograniczenie wolności osobistej. Psychologia więźnia była już — poza wspomnianym Dostojewskim — niejednokrotnym obiektem literackiej analizy. Wojna ostatnia dostarczyła nader obfitego materiału: ukazywano nam zakamarki duszy więźnia w normalnym więzieniu, w śledczym, w obozach koncentracyjnych. Zdawać by się powinno, że przed nami nie ma już w tym względzie tajemnic.

Jednak są.

Wszystkie publikowane pozycje relacjonujące o życiu więźniów tym się odznaczają, iż pochodzą albo od ludzi, którzy więzienie znają z opowiadań bliźnich, albo też od więźniów faktycznych, którzy jednak wrażenia swe spisywali post factum, już z wolności. A to oczywiście przeinacza zupełnie ocenę własnego przeżycia. Żadne nieszczęście, po jego szczęśliwym uniknięciu czy zakończeniu, nie jest dla nikogo takie same, jak w chwilach trwania. Albo przybieramy postawę nadmiernie lekceważącą wobec minionej grozy, albo — przeciwnie — pamięć mimo woli podsuwa nam obrazy o kolorach wzmocnionych: powtarzając — nierzadko cierpimy gorzej, niż wtedy gdy działo się tamto rzeczywiście. Chyba do bardzo rzadkich wyjątków należy opublikowanie świadectwa z pobytu więziennego — spisywanego w czasie odbywania katorgi.

Takim świadectwem, takim filmem psychicznym nakręcanym równolegle z dokonywującymi się zmianami w duszy wieloletniego więźnia są „Listy z więzienia" Antoniego Gramsciego*).

Kilka słów o autorze. Syn katorżniczej Sardynii, dość ponurej krainy — wyspy italskiej, Antonio Gramsci (urodzony w 1891) od swych lat uniwersyteckich spędzonych w Turynie, ośrodku przemysłowym, był czynnym członkiem ruchu socjalistycznego, na jego lewym skrzydle. Z wykształcenia filolog - językoznawca, więc filozof, z zajęcia — staje się zawodowym działaczem rewolucyjnym. Gdy w 1921 roku w włoskiej partii socjalistycznej przychodzi do rozłamu, z którego wyłania się Partia Komunistyczna — Gramsci jest jednym z jej przywódców. Roczny pobyt w Związku Radzieckim utwierdza go w słuszności obranej drogi i poucza o koniecznej taktyce. Od 1922 jest posłem na sejm włoski i bardzo ruchliwym publicystą politycznym partii komunistycznej. Jako taki zostaje 8 listopada 1926 roku przez faszystów uwięziony. Najpierw zesłany na wyspę Ustykę, potem z powrotem przewieziony na ląd stały, z oskarżenia o spisek przeciw państwu jest skazany przez faszystowski Trybunał Specjalny na 20 lat cztery miesiące i 5 dni więzienia. W obronie Gramsciego odzywa się potężny apel intelektualistów europejskich, wśród nich znajdował się i Romain Rolland i arcybiskup Canterbury. Akcja wszczęta w obronie uwięzionego doprowadziła do pewnego rezultatu... 24 kwietnia 1937 roku Gramsci został przez Mussoliniego wypuszczony na wolność. Dyktator Włoch był przemyślny: Gramsci był już w stanie tak daleko rozwiniętej choroby, że w trzy dni po uwolnieniu, 27 kwietnia życie zakończył.

Listy z więzienia pisywał przez cały niemal czas utraty wolności. Część z nich kierował do swej żony, Rosjanki, Julii, która po uwięzieniu męża wyjechała do ZSRR, tam ciężko chorowała. Opiekę nad Antoniu sprawowała w tym czasie Tatianna — siostra Julii — mieszkająca stale w Rzymie. Do niej skierowana jest większość listów. Ona wywiozła je do Rosji, skąd po wojnie wróciły do Włoch, by wydane uzyskać w 1947 roku „Premio Viareggio", jedną z najwyższych, niezależnych, nagród literackich włoskich (odpowiednik paryskiej „Prix Goncourt").

Listy przesyłane były legalną pocztą; cenzurowane przez władze policyjne nie zawierają żadnych aluzji politycznych. Oczyszczone mechanicznie od tego, co — wydaje się najbardziej zajmowało umysł i serce Gramsciego — ujawniają z ogromną wyrazistością i plastyką przemiany psychiczne zachodzące w człowieku tak ogromnej inteligencji i woli zamkniętym na lata w więzieniu.

Dwieście jedenaście listów — od długich, wielostronnicowych, do kilkuzdaniowych notatek kreślonych w czasie śmiertelnej, jak się okazało, choroby — obejmuje dziesięciolecie walki człowieka o wolność wewnętrzną gdy zabrakło zewnętrznej, o zachowanie sił fizycznych, kruszejących jednak coraz bardziej. Uważny czytelnik odtworzy sobie cały wykres sił więźnia, ubywających z latami; ujrzy kiedy są okresy specjalnej depresji, kiedy przeciwnie ożywia się on bardzo i wzmacnia. Z listów wykreślić możemy krzywą samopoczucia; jakie dziwne są te wzloty i spadki!

Nie śledzenie wspomnianych objawów jest najbardziej frapującą stroną listów Gramsciego, lecz ich zawartość czysto intelektualna. Myślę o tych partiach, które pisało pióro nie tylko stroskanego ojca rodziny, nie tylko człowieka obdarzonego sercem, płucami, żołądkiem — słabe to organy! — lecz pióro filozofa - intelektualisty. Cóż za potężny ładunek myśli ludzkiej! Gramsci komentuje i rozważa dzieła rozmaite: Dante i św. Franciszek, Machiawel i Leopardi, Gogol, Tołstoj czy Chesterton. Rozmyśla nad językiem i historią, religią i sztuką, nauką i polityką. Umysł pozbawiony normalnego kontaktu z ludźmi, a przecież umysł tak chłonny, tak czynny, — żegluje po szerokich oceanach erudycji i filozofii, w ten sposób broniąc się przed niszczącym działaniem więziennego czasu i rygoru. Nie dać się umysłowo! — chyba taką była więzienna dewiza Gramsciego. Wierzył on w swe uwolnienie — nie doczekał go! Nie doczekał chwili, gdy listy jego weszły do panteonu sztuki, jako wspaniałe okazy epistolografii. Stając się przytem świadectwem czegoś więcej, niż tylko niezamierzonego kunsztu — świadectwem upartej woli wolności, jaka nie słabnie nawet w człowieku skazanym na lat ponad dwadzieścia. W tym zawarty jest humanistyczny optymizm tej pięknej [illegible]ści, która wyrosła, czujemy to w każdym zdaniu, z głęboko humanistycznego, i klasycznego gruntu ziemi italskiej. Chyba nie zgrzeszę przesadą, jeżeli nazwę ją jedną z najbardziej LUDZKICH książek, jaką wydano u nas po wojnie. A już ta ranga poleca ją każdemu katolikowi.

A. W.

*) Antonio Gramsci — „Listy z więzienia". Tłum. Mieczysław Brahmer. „Czytelnik", 1950 r., str. 332.

„Krzyk jarzębiny"

W. KUBACKIEGO

Opowieść dramatyczna w 3 aktach. wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy Warszawa, 1949 r.

Essay dramatyczny — to najodpowiedniejsze określenie tego typu utworu jaki reprezentuje nam „Krzyk jarzębiny". Charakteryzuje go zwrócenie maksimum uwagi twórczej autora na stronę literacką dzieła, stylistyczną; oraz nie wciskanie akcji w twarde ramy zasad konstrukcyjnych nowoczesnego dramatu. Na gruncie naszej ubogiej literatury dramatycznej stanowi przedsięwzięcie czekające na kontynuatorów.

Konsekwencją tego rodzaju typu utworu jest fakt, że wydanie książkowe nie zubaża sztuki — jak to dzieje się z dziełami „rasowych" dramaturgów np. Zawierskiego, — lecz przeciwnie nawet: pozwala dotrzeć czytelnikowi do walorów literackich dramatu, które zatraca szybkie wypowiadanie tekstu na scenie.

W „Krzyku jarzębiny" Kubacki ukazuje się nam jako artysta dużej miary, lecz w utworze jego można odnaleźć Kubackiego profesora i esseistę. Zdradza nam to niezwykła pedanteria w stosunku do dziedziny językowej: każde niemal zdanie stanowi osobną całość a umiejętnie położona pointa, każda myśl zostaje wyrażona doborem wyrazów o sharmonizowanym brzmieniu tonalnym i uczuciowym. Całość tchnie klasycznym umiarem i drobiazgowym opracowaniem szczegółów celem uzyskania jednolitego względu estetycznego. Stąd też — co odczuliśmy na scenie — Kubacki wpada często w sztuczność. Liczne „duety" liryczne Laury i Ludwika zaciekawiają efektownością metafor i pomysłów, ale brak im poetyckiej swobody.

Są jedynie ciekawą robotą literacką.

Uzależnienie zagadkowego samobójstwa Ludwika Spitznagla — przyjaciela Słowackiego — od odczucia i niemożności naprawy krzywdy społecznej przez bohatera sztuki wprowadziło do tematu świeży nutr i nadało tej osobistej tragedii sens głębiej humanistyczny.

Trudno zaprzeczyć, że wyjaśnienie dramatu, który rozegrał się w dworze Snowskim, jedynie zawodem w miłości Ludwika do Laury Rdułtowskiej — było drogą utartej łatwizny literackiej.

Czerwień dojrzewającej jarzębiny jest symbolem otaczającej krzywdy społecznej i jednocześnie wyrazem niepokoju bohatera: jest żądaniem walki o sprawiedliwość społeczną rzuconym samotnemu marzycielowi romantycznemu. I tu leży istota dramatu.

„Chaty chłopskie płoną w jarzębinach, budzi mnie po nocach krzyk jarzębiny" — woła Ludwik, który jako jedyną broń ma tylko poezję.

Rozwój wewnętrznego dramatu Spitznagla toczy się konsekwetnie, od momentu, w którym wydaje się, że wszystkie jego wyzwoleńcze i orientalne plany są bliskie realizacji, aż do chwili, w której uświadamia sobie realną wartość swych marzeń i swoje straszne osamotnienie. Jest bowiem obcy szlachcie przez swe nieszczeźańskie pochodzenie, w istocie nie mniej oddalony od ludu, będąc reprezentantem „wyższej sfery", a niezawodnie obcy mieszczaństwu, jako typ inteligenta - poety. Gdy więc wskutek intrygi marszałka Rdułtowskiego odchodzi od niego nawet Laura, wówczas strzał, którego nie słyszymy, staje się zrozumiałym zakończeniem wewnętrznego kryzysu. Brzmi on jak pożegnanie człowieka, który nie znalazł własnego wyjścia z kręgu nierozwikłanych przez siebie sprzeczności świata.

Poza doskonale nakreślonym Spitznaglem reszta postaci, wraz z bladą sylwetką Laury i Konstantego, a ze zdecydowanym wizerunkiem Marszałka i świetnymi statystami — jak Serwacy — tworzą odpowiednio schierarchizowane tło dla bohatera sztuki.

„Krzyk jarzębiny" tak pod względem treściowym jak i formalnym stanowi pozycję, która dzięki swej wysokiej kulturze literackiej powinna mieć wpływ na młodych dramaturgów polskich.

K. E.

Księga poetyckiej modlitwy

Wydawnictwo „Milicji Niepokalanej" uczyniło duży wkład do nowej powojennej literatury maryjnej, wydając „Antologię polskiej poezji maryjnej" w układzie Tomasza Jodełki.

Księga ma podwójny, a zarazem jednolity charakter: mówi o ludzkim uwielbieniu Marii i mówi o Jej miłości dla nas, mówi o miłości Matki, która jest prawdziwą Matką człowieka i świata.

Niewątpliwie cenną rzeczą w książce jest umieszczenie przed starannie chronologicznie zestawionym układem naszej poezji poświęconej czci Marii, uwag wstępnych, dotyczących charakteru tej poezji w Polsce.

Kult Marii zawsze żywy, rozpoczął się już u zarania dziejów Polski. Najstarszym poetyckim zabytkiem jest bowiem hymn „Bogarodzica". Lata następne bardziej pogłębiły kult Marii. Kult ten znalazł pełne odbicie w poezji. Wiek XV wzbogacił naszą twórczość maryjną o wiele cennych anonimowych pozycji, często zawierających znaczny ładunek uczuciowy, choć przyobleczony w nieporadną, niekiedy zgoła prymitywną formę.

Wiek XVI, wiek w którym rodzi się w całej pełni narodowa literatura, nie przyniósł arcydzieł literatury maryjnej.

Powiew humanizmu włoskiego w znacznym stopniu osłabił kult Marii. Wymownym tego przykładem może być twórczość Jana Kochanowskiego. Autor wspaniałego, prawdziwie poetyckiego „Hymnu do Boga" nie zdobył się na żaden wiersz ku chwale matki Bożej. Jedynie poeta polsko - łaciński Klemens Janicki tworzy „Elegię do Najśw. Marii Panny", a Mikołaj Sęp Szarzyński „Sonet do Najśw. Panny".

W wieku XVIII-tym piękny hołd, choć nie w ojczystej mowie, składa Marii „polski Horacy" Ks. Maciej Sarbiewski. Imię Matki Bożej sławił zbiorkiem „Hymnów", inny poeta tego okresu Bartłomiej Zimorowicz. Szczery kult Marii u Wespazjana Kochowskiego, przejawił się w jego pięknych lirykach — Konfederacja Barska, wskrzeszająca do pewnego stopnia nastrój rycerski średniowiecza, przyniosła wiele prawdziwych pereł poezji maryjnej.

W epoce stanisławowskiej mimo, że w dużej mierze literaturę tworzyli duchowni, nie znać na niej piętna prawdziwej religijności. Kształtowały ją bowiem przenikające na polski grunt wpływy Oświecenia francuskiego. Jedynie głęboki nurt religijny dostrzec można w poezji Franciszka Karpińskiego czy Kniaźnina.

Romantyzm, niosący wspaniały rozwój poezji, przyniósł również wiele szczytowych osiągnięć w poezji o charakterze religijnym, ściślej maryjnym. W największych utworach Mickiewicza przejawia się miłość poety i wiara w opiekę Matki Bożej. Przykładem „Pan Tadeusz", II cz. „Dziadów" (widzenie Ewy).

Motywy maryjne występują także u Słowackiego m. in. w „Beniowskim", „Księdzu Marku", a najmocniej chyba w nawiązującym do „Bogurodzicy" „Hymnie".

Miłość Marii spotykamy u innych twórców romantycznych. U Krasińskiego, Zaleskiego, Goszczyńskiego, Norwida, Pola, Ujejskiego, Romanowskiego, Lenartowicza, Syrokomli.

U schyłku XIX w. znaczna rola przypadła kobietom w tworzeniu poezji maryjnej. Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), Maria Konopnicka, Maria Bartusówna, Kazimiera Zawistowska.

Wiek XX przyniósł całą plejadę indywidualności poetyckich, wiele też cennych, głębokich tworów pióra ku czci Marii. Stanisław Wyspiański, natchniony duchem franciszkańskiej prostoty i pokory, Leopold Staff — autor wspaniałego hymnu „Salve Regina", Jan Kasprowicz, Lucjan Rydel, Wiktor Gomulicki, Kornel Makuszyński, piewca Starego Miasta, pozostający pod urokiem jego tradycji — Artur Oppman, twórca wspaniałej, oryginalnej „Litanii do Matki Boskiej" — Julian Eismond, przedwcześnie zgasły Jerzy Liebert.

W okresie okupacji znajdujemy wiele utworów poświęconych Marii w poezji Krzysztofa Baczyńskiego, Siostry Nulli — służebnicy Krzyża (Verbum wydało w 1947 tomik S. Nulli „Wiersze") i in.

Dziś kult Marii wśród poetów jest wciąż żywy, wciąż zapowiadający dalszy rozkwit. Bogdan Ostromęcki, Jerzy Kierst, Wojciech Bąk, Roman Kołoniecki, Jerzy Zagórski, Aleksander Rymkiewicz i wielu innych — oto dzisiejsi twórcy poezji maryjnej.

Jasną jest rzeczą, że wiele skądinąd może cennych nawet pozycji poezji maryjnej w antologii Tomasza Jodełki nie zostało uwzględnionych, co z pewnością przekraczało możliwość zarówno autora jak i wydawcy. Antologia spełni dziś nakreślone sobie zadanie, a kiedyś stanie się poważnym przyczynkiem do obszerniejszych opracowań. Więc cel wieńczący wysiłek autora został spełniony. Książka ukazuje nam przekrój epok historycznych, ich oblicza i nastroje jest ona — że użyję słów Autora — „kroniką polskiego kultu Niepokalanej w różnych okresach".

Antologię uzupełnia Jodełka słowniczkiem wyrazów pochodzenia obcego, ewentualnie wyrazów dawnych dziś rzadko lub wcale nie używanych, co czyni książkę przystępną dla szerszego ogółu. Umieszcza również na końcu bibliografię oraz skorowidz uwzględnionych w antologii autorów.

R. W.

Nowa władza i samowar

„Wyłącznie takie uczucie szczęścia osiąga najwyższy stopień, które wyrosło z najniższych głębin zwątpienia". Te piękne słowa, wypowiedziane przez Stefana Zweiga, z nieodpartą sugestią przyszły mi na myśl po lekturze książki A. Serafimowicza „Żelazny potok"*).

Jest rok 1918. Z chaosu rewolucji, okrążony przez interwencyjne wojska białych, wynurza się olbrzymi pochód-potok ludzi, którzy per fas et nefas postanowili dotrzeć do Moskwy, gdzie już istnieje i działa rząd bolszewicki.

Tę właśnie wędrówkę tłumu ludzi, złożonego z dawnych carskich żołnierzy, marynarzy, robotników i chłopów oraz ich rodzin — tłumu ożywionego wiarą w lepsze jutro opisuje w swej książce Aleksander Serafimowicz.

Tragiczna i krwawa jest ta droga do socjalizmu.

Trzeba walczyć nie tylko z wrogiem, który ma broń, ale i z wrogiem — głodem, wrogiem — chorobą i najgroźniejszym wrogiem człowieka — zwątpieniem we własne siły. To wszystko dobrze waży w swym umyśle Kożuch, przywódca i trybun całej tej masy ludzkiej. Kożuch, dawny wojskowy armii carskiej, ongiś pogardzany i poniżany przez błyszczących oficerków z racji swego gminnego pochodzenia, z chłopską zaciętością i wiarą w słuszność bolszewickiej sprawy, przeprowadza przez ogień wojny domowej tych, którzy mu zaufali.

Na całość tej typowej dla socjalistycznego realizmu opowieści, składa się szereg plastycznych epizodów, podkreślających w sposób wyrazisty okrucieństwo bratobójczych walk, zawsze przejmujący obraz matki — Niobe, skamieniałej z bólu nad stratą potomstwa, czy też niesamowito - humorystyczne perypetie z gramofonem...

Jedną z ciekawszych postaci powieści Serafimowicza jest baba Horpyna, która idzie wraz z tłumem, porwana ogólną zawieruchą, i ze starczą gderliwością złorzeczy nowej rzeczywistości, w którą wtłoczyły ją przemiany dziejowe Rosji. „Boże miłosierny — biadoli baba Horpyna, — Co te bolszewiki sobie myślą? Tyli majątek trza było zostawić! Jak mnie zamąż za starego dawali, tak mi matka pedała: samowar ci dam, a ty go pilnuj, jak źrenicy oka... dzieciom a wnukom ostaw! Tak se rachowałam, że jak będę Ankę wydawać, to jej się samowar dostanie... a teraz co? Wszystko poszło...". Tak oto samowar urasta nagle do rozmiarów symbolu utraconego „dobrobytu" wszystkich rosyjskich bab Horpyn, które skonstatowały ze zgrozą, że dawny porządek się zawalił.

Aleksander Serafimowicz jest świadomym swego rzemiosła, piewcą socjalistycznej rewolucji. Wynika to z faktu, że całe jego życie związane było bezpośrednio z losami ruchu robotniczego w Rosji.

G. K.

*) Aleksander Serafimowicz — „Żelazny potok". Wydawnictwo „Prasa Wojskowa", wydanie II, 1949, str. 319.

Antoni Podsiad

WIERSZE

Wiersz spod oślej ławy

Ja, który słyszę, jak trawa rośnie —
A gdy zakurki, gdy wściekła zima,
Zwątpiałym bratkom bajam o wiośnie —
Który znam tajemnice zakochanych stokrotek —
I wiem, w czym leży smolinosa wina —
I noszę, noszę w sercu stokrotne, stokrotne...
Oczka niezapominajek zalotne... zalotne...

— dostałem w szkole z botaniki dwóję!

Ja, który się przyjaźnię z huczącym panem bąkiem,
wdową mrówką, i z chrząszczem — wąsatym jegomościem —
Który w tęczowe słońce zaglądam przez skrzydła łątkom —
I biorę lekcje skakania z trapezów, trampolin
u polnego konika, który — poczciwiec z kośćmi —
cały Boży dzień hasa, a wieczór rzępoli —

— dostałem w szkole z zoologii dwóję!

Wspomnienie

To też był „kraj ujrzany przez zielone szkło",
Kraj papierowych hełmów i trzcinowych pałek.
Jeśli w pyle podróżnym napotkasz pomiętą wstążeczkę —
Wiedz, że to jest droga, po której buszował malec
W kraju barwnym, przez który jak przez sen się szło.

Pod kościołem — seplenił szept pękatych bab.
Cmentarz był ułożony z malowanych mis.
Stał pod dzwonem kościelnym głuchy jak pień dziad.
Ta mozaika z misek — to jest dla mnie dziś
Bezcenny drzeworyt z pomiętą wstążeczką.

Ognista salamandra

1. PIEŚŃ OGNISTEJ SALAMANDRY.

Chłopcze siedmioletni,
Chłopcze dwudziestoletni,
Chłopcze o siwych włosach, z garbem ciesielskich lat.
Poeto w snach i czynach, osierocony, udowi.
Zrodzony w bólu, łzach szczęścia,
zrodzony czysty i świeży,
różowy o oczach niebieskich —
Pamiętaj, pamiętaj poeto
siedemnastoletni:
— Patrz: wokół prorocy — poeci
z wykwintnych, obłudnych metafor
budują wieżę Babel —
Choćby ci łzy pod powieką
zaschły, ostygły w kamienie — — —
Zachować masz na wieki
świeżość spojrzenia dziecka.

2. PIEŚŃ TWÓRCY.

Ulepię człowieka z gliny
czerwonej, cielistej, kawowej
Na czoło położę jaskółkę,
w oczach zapalę błysk.
Gałki oczne z dna morza,
by były słone, zdrowe,
białe bielą pereł
w muszlach różowych, miękkich.
By znały ludzkie oczy
pokorę oceanów
pełznących przed Stwórcą na klęczkach.
Rzęsy w wilgotną glinę
oprawię długie, giętkie,
by czarne, aksamitne
miały poezji czar.
By rzęsy wytyczały
zasięg spojrzeniom czystym..

Człowiecze, zapomniałem
wrazić ci w oczodoły
maleńki woreczek łzowy:
— Gdy oczy staną ci w słup,
gdy twój brat z nożem ofiarnym
wyłupi ci twoje perły,
złoży przed cielcem złotym,
zaniesie na ołtarz swych żądz — — —
czymże, czymże zapłaczesz?

3. CHÓR LUDZI, KTÓRZY PRZEŻYLI WOJNĘ.

Jakie to szczęście, że stać nas jeszcze na łzy —
Że trwonimy uśmiechy mieszane ze łzami —
Że zbrukane oczy obmywają łzy —
Że niebieskie spojrzenie odświeżamy łzami —
już tyle łez wylaliśmy,
że postygły w kamienie.

4. OPOWIADANIE CHŁOPCA ZRODZONEGO W BÓLU.

Niegdyś w rodzinnym mieście,
... niegdyś w rodzinnym mieście,
gdy nad ruiną wisiało
południe brzemienne śmiercią,
spotkałem na cembrowinie
płomienną salamandrę — —
Kwiaty pachniały prochem —
w kielichach ukryte armaty,
a lilie skrytobójczo
dławiły w piersiach miecze.
Był czas to, kiedy róże
kwitły na bandażach
i złośliwie błyskały
strzaskane reflektory
żółtych słoneczników.
Płomienna salamandra
przekłuła mi źrenice
ostrą, ognistą kreską,
wlała mi czarodziejski
płomień ludzi bezdomnych.

5. PIOSENKA SIEDEMNASTOLETNIEGO POETY

Chłopcze zrodzony w bólu —
a gdy zbudujesz już pokój —
świat nie będzie li tylko
grającą bańką mydlaną.
Ty będziesz wąchał
fiołki wieczorów
i będziesz mógł po kryjomu
zawiesić łzę na rzęsach —

Wspomnienie łomżyńskie

— Ot, rozkoszny, niezdarny rak! —
— O, tam zielona trawka, on chce pogłaskać trawkę, o — tak...

I choć podkówki przybite na progu na szczęście
worywały się w tyłek przez lejbik latany —
on gmerał się, czerwieniał i stękał zawzięcie.
Bo przed nim zielona trawka, a za nim...
a za nim podrapane, zapłakane ściany.

Ta trawka była chora, anemiczna — choć młoda.
Szukała swobody słońca, parła poprzez bruk.
Po ostrych kamieniach łazł żyd nosiwoda:
krymka, rudy chałat, trzęsąca się broda
i rozwlekłe westchnienia opuchniętych nóg.

•

Trzy razy trawa przekwitła na bruku.
Szkrab nosił w oczach gwiazdy, a w piąstce miedziaki.
W fiołkowe wieczory strzelał do gwiazd z łuku,
a za grosze dostawał w sklepiku lizaki.

•

W dzikim winie grota, w grocie Róża i Kolec.
Wieczny różaniec nawleczon na fontanny płacz.
„Opuść Mario ręce, muszą bardzo boleć
złożone do modlitwy w ciągu tylu lat".

•

Tak się modliła mama, a synek naiwnie, po prostu:
„... i żeby na kolację tatuś przyniósł serdelki..."
— Chodź już synku do domu. Jutro w Piątnicy odpust.
— Co na odpuście ci kupić? — Trąbkę i cukierki.

•

Było to miasto rybaków, miasto gołębiarzy,
owiane chmurą gołębi, przepasane rzeką.
Czy mnie, „małemu rakowi", kiedyś się jeszcze zdarzy
płoszyć czyjeś gołębie, zbierać żabie skrzeki
i cały dzień Boży biegać za kataryniarzem?

•

Minął szereg krwawych lat.
Warczące samoloty spłoszyły ciche gołębie.
Ludziom cień na twarze padł.
Teraz ponoć nad miastem zamieć kawek się kłębi.

W fiołkowy wieczór

Ktoś tam przesuwa sprzączkę samochodu
Po popielatym pasie szosy
Ktoś rzucił w niebo bumerang z księżyca.
O poro, poro chrabąszczowych godów!
Różowa winnica, błękitna ulica
I w czarne łoże rozplecione włosy.

O, poro, poro
Gdy z purpurą fiolet
Walczy o niedośpiewaną pieśń zmierzchu.
Ja — wielki, ja — mały; ja — pyszny, ja — śmieszny.
Dość światła na witrażach święci przepuszczają
Bym poznał dokładnie swą małość.

Jam z tych, co wokół natrząsają brwi.
Przywykłem brwi układać w jaskółki zdziwienia,
Krakać krakaniem kruków, z pszczelej pracy drwić,
Nos nieufny garbić w znaki zapytania.
Byłem kulą u nogi roboczych ojców i synów.
Patrzyłem, jak rudy chłopak rwie brzuch w przepukliny.

Chciałbym przeczytać poemat wypisany
Na skórze żaby pręgowanej.
Chciałbym mój smutek ukoić w kolebkach liści —
Cóż, kiedy się w nich nie zmieści...
Chciałbym komuś odsupłać rzemyk —
Gdy w pyle podróżnym trzewik.
Chciałbym narwać bzu kiści,
Ścierać pot z ludzkich dłoni rzęsiście.

Ktoś tam zacisnął sprzączkę samochodu
Na popielatym pasie szosy.
Księżyc położył palec na ustach.
Szedłem rozgrzeszony, bosy
Na weselne gody.

Miłość do dziewanny

Twoje oczy — Dziewanno — nabrzmiałe kasztany.
Twoje uszy — Dziewanno — wapienne muszelki.
Twoje rzęsy — Dziewanno — czarne, śmigłe świerki.
Twoje usta — Dziewanno — z dwu gąsiennic wianek.
Twoje zęby — Dziewanno — śnieg niebieski nawet.
Twoje włosy — Dziewanno — zapach złotej trawy.

KOMENTARZE:

Kasztany:
Zawieszone na drzewie kołyszą się setki oczu.
Muszelki:
Na uchu odciśnięty misterny ślad stopy.
Nadeptane na drodze, którą czas kroczył.
Świerki:
Drżą rzęsy, czarne rzęsy, trzepot rzęs, jak
Zamieć kruczych skrzydeł na rozstaju.
Gąsiennice:
Mięsiste liszki jarzębin, co szminki nie znają.
Śnieg:
Niebieskie tło dla zębów bieli.
Trawa:
Jeleń złotym kopytem tupie w złotą trawę.
Złote kopyto, trawa, złoty rogów kielich.

TYDZIEŃ

Pierwiastki orientalne w kulturze polskiej

Cenną pozycję grudniowego numeru miesięcznika „Wiedza i Życie" stanowi artykuł Jana Reychmana pt. „Pierwiastki orientalne w kulturze polskiej".

Na wstępie Reychman precyzuje definicję „Pod nazwą pierwiastki orientalne rozumieć będziemy te pierwiastki, wpływy czy oddziaływania, które pochodzą od ludów orientalnych, to jest przede wszystkim od narodów Wschodu, które później w dużej mierze przyjęły Islam i mimo tego, że same składały się z najrozmaitszych czynników — semickich, tureckich, irańskich — wytworzyły pewien wspólny typ kultury".

Wpływy orientalne na polską kulturę, których ślady często są dyskretnie ukryte, niemal niedostrzegalne, rozpoczęły się, jak to wykazały wykopaliska, bardzo dawno i trwały nieprzerwanie w następnych okresach.

W okresie wędrówek ludów, przez polskie tereny przelewały się wschodnie plemiona Scytów i Hunnów. Nie pośledną rolę w utrzymaniu łączności ze Wschodem odegrał handel. Na wschodzie Europy rozsiadły się liczne plemiona tureckie: Chazarowie, Pieczyngowie, Awarowie, których liczne ośrodki znajdowały się na terytorium Rosji południowej. Wpływy orientalne przenikały więc do Polski za pośrednictwem Rosji

„I tak wpływy sztuki sasanidzkiej, z Persji przeniesione za pośrednictwem Chazarów trwały u nas aż do XII wieku, pozostawiając u nas liczne ślady w postaci czasz srebrnych z ornamentyką sasanidzką". Na terenach Polski czy ziemiach sąsiednich znajdywane są monety arabskie: Kufickie (od miasta Kufy) Samanidów, Omajadów, Kalifów bagdadzkich. Jednocześnie obok przejawów handlowych docierały do nas tureckie elementy ornamentacyjne.

Niektórzy historycy sztuki dopatrują się w antynaturalistycznych geometrycznych haftach Kurpiów, Mazurów, Mazowszan, wpływów ornamentacji wschodniej.

Następny okres od najazdów tatarskich aż po dłuższy kontakt z orientem Muzumańskim był okresem silnych oddziaływań orientalnych na kulturę polską. Najwyższy szczyt rozwoju osiągają one w wieku XVII, kiedy dzięki ożywionym stosunkom handlowym, wiele towarów wschodnich znajdywało u nas chętnych nabywców „Nasiało się tego po wszystkiej Polszcze rzeczy tureckich, onych haftowanych rzeczy ślicznych, kontepkych, łubiów bogatych i innych różnych specjałów", pisał po zwycięstwie chocimskim Pasek w swych „Pamiętnikach".

Sztuka Islamu bogata w formy, kolorytu oryginalność motywów przeniknęła do naszego artystycznego przemysłu tekstylnego jak również do produkcji broni i namiotów. Te ostatnie przetrwały aż do czasów Stanisława Augusta.

„W Polsce motywy sztuki Islamu w połączeniu z bogactwem motywów barokowych, wytworzyły pewien swoisty styl kulturalny, który polscy historycy sztuki skłonni są nazywać „sarmatyzmem"

Obok sztuki zdobniczej przenika do nas również w tym okresie literatura orientalna. Znajomość języków wschodnich w w. XVII uważano za zaszczyt. Pierwiastki orientalne przenikają do nas także drogą bezpośrednich infiltracji etnicznych". Tatarzy, Karaini, Ormianie zamieszkali na terenach polskich, zachowali swą odrębność zwyczajów i języka. Mamy wiele śladów tego w naszym słownictwie. Często przyswajany termin wschodni ulegał zniekształceniom fonetycznym, a nie kiedy znaczeniowym. Przykładem „słoń" pochodzący z tureckiego „azslan — lew". Dużo mamy również specyficznych pojęć orientalnych ściśle uzależnionych od ustroju, sposobu prowadzenia wojen. Są to: haracz, horda, jassyr, koczować, czambuł, meczet, oraz liczne wyrazy odnoszące się do broni, odznak władzy, tkanin, tytoniu i wschodnich specjałów: dzidy, buława, buńczuk, buzdygan, dywan, kilim, wojłok, tytoń, cybuch, lulka, haszysz, kawa, syrop.

W wieku XVII osłabia się oddziaływanie wpływów orientalnych na kulturę polską. Jest to konsekwencja rozluźnienia stosunków politycznych i gospodarczych między Polską, a krajem Orientu. Dociera jednak do Polski z Zachodu moda „orientalizmu". Zacieśniony kontakt Zachodu ze Wschodem otworzył nowe horyzonty myśli. Zaczęto krytykować stosunki panujące w Europie i przeciwstawiać je stosunkom wschodnim. Taką krytyką ukrytą pod orientalnym płaszczem były „Listy Perskie" Monteskiusza.

W Polsce w tym czasie przetłumaczono arabskie „Bajki z tysiąca i jednej nocy". Krasicki w rozprawie o rymotwórstwie i rymotwórcach" daje nieco skąpych wiadomości o poetach arabskich i tureckich. Niemcewicz i Karpiński piszą czasem na tematy orientalne. „Monitor" drukuje fragmenty licznie ukazujących się powieści wschodnich w przekładzie księdza Bohomolca. Jan Potocki pisze (cytuję za Janem Reychmanem) „w młodości przykładałem się do historii i literatury orientalnej. dziwnie lubię ich sposób i sam zaczynam się ćwiczyć w nim, dwuletnie dzieł ich czytanie tak mnie uczyniły w myśli wschodnie bogatym, że w obrazach moich zachowam podobieństwo".

Moda „orientalizmu" przeniknęła do sztuki. Pałacyki w stylu pseudowschodnim, urządzano różne komnaty chińskie. Możni arystokraci trzymali na swych dworach różnych egzotycznych służących (Turków, Murzynów, Arabów). Stanisław August miał np. na dworze Turka Kirkora.

Do Polski sprowadzano także konie czystej krwi z Turcji czy Arabii. Wśród ulegających wpływom wschodu wspomnieć należy o żądnym egzotycznej romantyki Wacławie Rzewuskim, magnacie polskim, który zdołał się świetnie zaaklimatyzować w środowisku arabskim, a nawet osiągnąć wysoką godność emira. Ta wybitnie romantyczna postać była później źródłem natchnienia Mickiewicza i Słowackiego. Pierwszy opiewał Rzewuskiego w „Farysie", drugi w „Dumie o Wacławie Rzewuskim".

Michał Czajkowski, powieściopisarz polski, wyjechał do Turcji, gdzie w krótkim czasie się naturalizował zasłynął jako Sadyk-Pasza.

Romantyzm zwrócił się ku Wschodowi szukając tam egzotyki baśniowości, nowych motywów i form poetyckich. Wpływy orientalne na naszą poezję romantyczną są duże. W Europie zyskał sławę irlandzki poeta Moore, utworami, które posiadają duży urok poetycki, a osnutymi na tle tematyki orientalnej. Na przełomie XIX i XX w. zainteresowanie dla piśmiennictwa wschodniego przejawiał Wacław Rolicz-Lieder. Ogólnie biorąc, przejawy wpływów wschodnich w tym okresie są raczej sporadyczne. Na początku XX w. zaznacza się wpływ Wschodu na krakowskie środowisko artystyczne w okresie poszukiwań nowych form, w sztuce ludowej i secesji. Wiele przyczynił się do spopularyzowania poetów Wschodu zmarły już Anton Lange.

R .W.

Film

Kłopoty referenta Trziszki

Film produkcji Czechosłowackiej.

Temat filmu został niesłusznie określony jako historia przemian dokonujących się w zbiurokratyzowanym urzędniku, który na wczasach spotyka się ze środowiskiem młodzieży biorącej udział w akcji żniwnej i zmienia swój stosunek do pracy, odnajduje spokój i równowagę.

Referent Trziszka w tym ujęciu staje się jakimś odpowiednikiem p. Nowaka z innego czeskiego filmu.

W koncepcji filmu Trziszka jest urzędnikiem pracującym w trudnych warunkach ale nie dostrzega się żadnych elementów, któreby pozwoliły ocenić jego pracę. Ośmieszony zostaje natomiast jego styl życia, jego mentalność, jego śmieszności rodzinne. Od początku niemal zostaje ustawiony jako postać sympatyczna chociaż bardzo zabawna.

Wiemy o Trziszce niewiele. O jego pracy nic prawie. Wiemy że pochodzi ze wsi, że jego zachowanie się i śmieszności są jaskrawym produktem specjalnego typu wychowania i mieszczańskiego stylu życia. Że owe śmieszności są zabawne, ale bardzo zewnętrzne, nie groźne, nie oburzające. Obok nich powstaje inne życie, inne pokolenie i referent Trziszka mimo zewnętrznej autorytatywności dla tego innego życia nie jest groźny. Jest żywym dokumentem, zabytkiem swego środowiska, ale zabytkiem ożywienia, uczłowieczenia go.

Problem filmu zarysowuje się raczej jako teza, że nie ma ludzi niepotrzebnych wtedy, kiedy ktoś chce pracować. Ponieważ wybrano ujęcie komediowe stojące na pograniczu groteski, momenty dramatyczne przeżyć człowieka tracącego zajęcie z którym był długo związany, zostają złagodzone. Nacisk został położony na zewnętrznie śmiesznych sytuacjach. Ta zewnętrzność ośmieszenia sprawia zresztą w tym filmie wrażenie jakiegoś niezdecydowania. Śmieszność Trziszki pozbawiona elementów niebezpiecznych, rozbrajająca w nieszkodliwości, staje się pozorem. Można się nią bawić ale przez swoją pozorność niczego nie dyskredytuje, niczego nie oświetla. Należy podkreślić, że cały ciężar komizmu spoczywa na gestach, zewnętrznym wyglądzie, wymyślnym i wygranym komiźmie sytuacyjnym.

Formalnie najlepsze są pierwsze epizody filmu. Żywy montaż ekspozycji, doskonałe sceny rodzinnego życia Trziszki, farsowe ujęcie jego autorytatywności rodzinnej, owego tradycyjnego posiłku, który ma łączyć rozbieganą i podzieloną odmiennością zajęć i zainteresowań rodzinę. W dalszych scenach powtarzają się już te same, nie zaskakujące widza, recepty na śmieszność.

Część wiejska filmu zostaje raczej niewyzyskana. Reżyser (J. Mach) rezygnuje z elementów farsy, wprowadza motywy pogodne ale nie decyduje się na wygranie krajobrazu, pogody, motywów wiejskich, stwarza sytuację banalne, powtarza chwyty, nie umie utrzymać tempa. Największą zaletą filmu jest doskonały dobór wykonawców. Szczególnie dobra jest interpretacja postaci referenta w wykonaniu Saszy Raszilowa.

LESZCZ

P. S. Umieszczona (obok recenzji o „Dwóch ogniach") w Nr. 22 notatka pt. „Dni filmu czechosłowackiego" przez pomyłkę została podpisana „Leszcz" — był to materiał z biuletynu „Filmu Polskiego".

Studium przekładowe Penclubu

Szósty wykład Studium Przekładowego Penclubu wygłosił Kazimierz Truchanowski o „Warsztacie tłumacza".

Prelegent sięgnął do genezy słowa i roli tłumacza, który był pierwotnie pośrednikiem dwu poważnionych narodów, więc często bywał zdrajcą. Stąd dawne określenie: traditore — traduttore. Jednak z biegiem czasu rola tłumacza zmienia się i to ujemne określenie roli tłumacza traci podstawę. Tłumacz staje się odtwórcą — do pewnego stopnia współtwórcą — utworu przekładanego z obcego języka. Zupełnie inne są reakcje czytelnika w stosunku do książki, niż reakcje tłumacza. Czytelnik wchłania treść książki, ona go może zachwycać, daje mu mnóstwo przeżyć, ale jest on mimo wszystko bierny. — Przeciwnie tłumacz, którego ogarnia pasja twórcza w poszukiwaniu firmy słowa, najdoskonalej odtwarzającego myśl autora. Gdy czytelnika ogarnia polot, ponosi fantazjt pobudzona treścią książki, tłumacz jest jej niewolnikiem. Obowiązuje go bezwzględna wierność, W umyśle jego odbywa się proces psychologiczny, poszukiwanie mozolne odpowiednich, najlepszych określeń.

W sprawie roli i hierarchii stanowiska tłumacza w literaturze toczy się wciąż spór. Czy można dobrych, najlepszych tłumaczy przyjąć do rodziny literatów-twórców? Czy też zaliczyć ich należy do grupy współpracowników, pomocników autorów? Polski Penclub pragnie zająć się zrzeszeniem wszelkiego rodzaju i typu tłumaczy, tych właśnie którzy są obecnie bez właściwego przydziału. Stanowisko i rola tłumacza jest tak ważna, że należą mu się względy i tak krytyka jak i sfery czytelników powinny zmienić swój do nich stosunek. Bo najczęściej praca tłumacza jest przez krytykę pomijana, nie uwzględniana, nawet przemilczana. Także czytelnicy mało uwagi poświęcają kunsztowi przekładu. Tłumacz — mimo że zdaniem prelegenta jest kopistą, — spełnia jednak wybitną rolę. Od osobistych walorów i stopnia talentu literackiego, niezbędnego dla tłumacza, zależy wartość przekładu. Prelegent zilustrował przykładami wierne, niewolnicze, i swobodne, śmiałe, operujące swobodnie materiałem artystycznym i myślowym autora. Zaznaczył niezbędne, już w poprzednich wykładach wyrażone postulaty dobrego tłumaczenia: doskonała znajomość obu języków i realiów. Niezmiernie ważną dla tłumacza sprawą jest pogłębianie z jego strony kultu słowa.

W dyskusji poruszano zagadnienie tłumaczeń dzieł naukowych, rozróżnienia tego rodzaju przekładów od przekładów artystycznych literatury pięknej, innych wymagań tłumaczeń prozy niż poezji, sprawy tłumaczeń literatury popularno naukowej, oraz konieczności zorganizowania poradni dla tłumaczy w zastosowaniu do ich specjalności.

Siódmy z rzędu wykład Studium Przekładowego Penclubu wygłosił **Jerzy Zawieyski o tłumaczeniu utworów dramatycznych.**

Przy przekładach utworów dramatycznych, trzeba sobie zadać to samo pytanie, które zachodzi w stosunku do każdego dzieła tłumaczonego z obcego języka: jakie są granice wolności wobec oryginału: Czy przekład jest czynem artystycznym, czy tylko bardziej lub mniej udaną rekonstrukcją?

Prelegent przyznaje tym tłumaczeniom, które obok wierności odtwarzają doskonale styl, klimat i wszystko to, co składa się na artystyczną atmosferę utworu, wartość i znaczenie artystycznego czynu. Wielkie arcydzieła literatury światowej posiadają swoje odpowiedniki w równie artystycznych ich przekładach. Najlepsze przekłady trzeba uważać za własną twórczość artystyczną ich tłumaczy. Takie najlepsze przekłady często oddalają się od oryginału, natomiast gorsze do nie niewolniczo się zbliżają. Gdzie więc leży granica wolności? Chodzi o to, aby odtworzyć z naturalną swobodą artystyczną atmosferę oryginału.

Czy przekład utworu dramatycznego wymaga stosowania innej metody? — O tyle, o ile utwór dramatyczny odbiega w swej strukturze od innych rodzajów literackich, bo przemawia do widza czy czytelnika mową żywą, pełną dynamizmu, teraźniejszą. Dramat jest utworem samoistnym, przemawia do widza ze sceny teatru wprost, żywym słowem, lub o ile jest niesceniczny, słowem czytanym, a w ostatnim okresie przemawia także specjalnie do wyobraźni w utworach radiofonizowanych.

Jako najważniejszy postulat odnośnie do przekładów wysuwa prelegent, zgodnie z innymi swymi poprzednikami, wierność w stosunku do treści i atmosfery oryginału. Jako przykład doskonałego wyczucia i wżycia się tłumacza w styl i atmosferę oryginału, przytacza prelegent Boy'a - Żeleńskiego z jego przekładami utworów dramatycznych literatury francuskiej.

Przyswajanie polskiej literaturze dramatów tragicznych świata antycznego posiada swą piękną tradycję. Mamy tu najlepsze artystycznie wzory w przekładach Wyspiańskiego, który potrafił nie tylko odtworzyć, ale wzbogacić własną inwencją artystyczną postacie dramatu.

Czy przekład utworu dramatycznego wymaga specjalnych jeszcze uzdolnień? Zdaniem prelegenta ten rodzaj tłumaczeń wymaga dodatkowej umiejętności, ponieważ dramat jest w swej istocie odmienny od innych utworów literackich.

KULTURALNY

MARIONETKI I SKANDAL

Przez cztery dni w początkach czerwca odbywały się w Warszawie występy teatru marionetek prof. Skupy. Jak zwykle — już żeśmy się do tego przyzwyczaili! — bilety były rozprowadzane, bez żadnej troski o to, że istnieją ludzie z zawodów artystycznych, którzy w pierwszym rzędzie winni zobaczyć osiągnięcia Czechów. Nie znalazły się bilety dla pisarzy, muzyków, plastyków, ludzi teatru, których zawiadomiono wprawdzie przez ich związki o tym, że mają prawo nabywać bilety (prawo mieli wszyscy ludzie w Polsce!), ale uczyniono to w chwili, gdy już tych biletów w kasach nie było. Jakby nie można rozprowadzać właśnie przez związki artystyczne. Następnie wyznaczono na pokazy najmniejszą salę w Warszawie. Organizatorem był „Artos"!

Jeszcze jeden przykład, iż pisanie w pismach jest grochem rzucanym o ścianę. Ileż już razy z okazji przyjazdu i baletów radzieckich i rozmaitych innych zagranicznych artystów pisano i udawadniano pewną niezbędną hierarchię w udostępnianiu podobnych widowisk, przede wszystkiem dla tych, co mogą się czegoś w zakresie swego zawodu nauczyć. A tymczasem uzyskanie biletu na imprezę tego rodzaju staje się coraz częściej przywilejem nierobów — to znaczy tych, którzy ujrzawszy afisz na mieście, już lecą kupować bilety, godzinami tkwią w kolejkach, mając czas wolny i zawsze przygotowane pieniądze przy sobie! Ale to nie jest w porządku.

Znakomity teatrzyk prof. Skupy odwiedzi w miesięcznym turnee Kielce, Lublin, Kraków, Rzeszów, Białystok, Wrzeszcz, Gdynię i Wrocław.

DZIEŃ DZIECKA

Chyba po raz pierwszy świętowano w Polsce tak uroczyście Dzień Dziecka. 4 czerwca w kilku punktach Warszawy odbyły się wielkie zabawy. W Alejach Ujazdowskich miał miejsce kiermasz, podczas którego funkcjonowały kioski z zabawkami i książkami dziecinnymi. Autorzy podpisywali młodocianym właścicielom i czytelnikom swe książki. W parku Paderewskiego odbyły się wyścigi trzykółkowych rowerów i hulajnogach.

Przy okazji ogłoszono cyfry ilustrujące rozwój pomocy i opieki nad dzieckiem. Z pośród wielu liczb na dwie szczęśliwe trzeba zwrócić uwagę.: przed wojną w całym kraju było półtora tysiąca przedszkoli, z reguły prywatnych dostępnych tylko dla dzieci zamożniejszych. Obecnie jest ich ponad siedem tysięcy. Przed wojną było w całym kraju 68 (sześdziesiąt osiem) żłobków przy fabrykach i zakładach, dziś jest ich koło pół tysiąca.

NOWE HARCERSTWO

W Dniu Dziecka — sam wybór dnia określa już istotę nowego harcerstwa — odbyło się złożenie przez 600.000 członków ZHP nowego przyrzeczenia i nadanie im nowej oznaki związkowej. W odróżnieniu od dotychczas obowiązującego — nowe przyrzeczenie nie zawiera absolutnie żadnego z przyjętych dawniej tradycyjnych sformułowań baden-powellowskich. Gdy tamto nastawione było na młodzież starszą— to właściwie przeznaczone jest dla dzieci. W przyrzeczeniu podkreślono wreszcie zależność formalną Związku Harcerstwa Polskiego od Związku Młodzieży Polskiej.

KRONIKA

ZGON SANGNIER'A

W maju br. w Paryżu zmarł w wieku 77 lat Marc Sangnier — jedna z najwybitniejszych postaci francuskiego katolicyzmu. Zmarły działacz był inicjatorem organizacji „Sillon" (założonej przez niego w r. 1894), która, jako pierwsza tego rodzaju we współczesnym katolicyzmie, dążyła do pogodzenia katolicyzmu z nowoczesnymi ruchami społecznymi, do autoryzowania przez Kościół i katolików — radykalnych ideałów społecznych. „Sillon" („Bruzda") i sformułowania Sangniera wywołały jednak takie oburzenie w ówczesnym świecie katolickim, że uznano, iż została przekroczona granica katolickiej ortodoksji i w roku 1910 papież Pius X potępia „Sillon". Sangnier poddając się Stolicy Apostolskiej nie przestał mimo to walczyć o realizację swych chrześcijańsko-demokratycznych ideałów. Po kilkunastu latach doczekał się cofnięcia potępienia, a nawet błogosławieństwa papieskiego.

Jak to bowiem często bywa, u schyłku swego życia Sangnier nie reprezentował już najbardziej postępowych katolików francuskich. On pchnął francuskich katolików w pewnym kierunku — stał się przyczyną odrodzenia katolicyzmu wyprowadzając go z zakrystyjnych opłotków w życie społeczne — lecz uczniowie jego poszli dalej. Po Sangnierze był Mounier.

ABC — TOMIZMU

Jedną z najwartościowszych publikacji wydanych ostatnio jest ogłoszone w ostatnim numerze „Znaku" „ABC tomizmu" O. P. Bocheńskiego. Jest to zwarty, jasny, ugrupowany w punkty i rozdziały wykład o tym czym jest tomizm, jaka jest jego nauka, terminologia, wnioski. Brak podobnego kompendium tomizmu dawał się bardzo odczuwać na naszym rynku. Wielu rozprawiało o tomizmie mając o nim zupełnie zielone pojęcie.

POLSKA — BUŁGARIA

Mieszana komisja polsko-bułgarska opracowała roczny plan wymiany kulturalnej, przewidujący wymianę stypendiów studentów i naukowców oraz szeroką współpracę w dziedzinie nauki, sztuki i kultury.

Ostatnio ukazała się w języku polskim dwutomowa powieść Iwana Wazowa — bułgarskiego Kraszewskiego, może nawet Sienkiewicza — pt. „Pod jarzmem". Historyczny romans osnuty na tle walki Bułgarów przeciw Turcji o wolność w XIX stuleciu. W polskiej literaturze temat ten znalazł doskonały wyraz powieściowy w książce T. T. Jeża „W zaraniu", wznowionej przed rokiem.

FUZJA UCZELNI

Wkrótce nastąpi połączenie Akademii Sztuk Pięknych i Wyższej Szkoły Plastycznej w jedną uczelnię. Nowa uczelnia będzie się mieścić w Warszawie w odbudowywanym obecnie zabytkowym pałacu Raczyńskich przy Krakowskim Przedmieściu 5.

WYSTAWA I NARADA

Stały Komitet Koordynacyjny Biur Projektowych — uzgadniający pracę 10 biur projektujących budowę Warszawy — urządził w Politechnice stołecznej dwutygodniowy pokaz zamknięty projektów i szkiców. Pokaz dostępny jedynie dla architektów i słuchaczy politechnik — stał się podstawą specjalnej dyskusji urządzonej w tym samym zespole. Była to wielka narada produkcyjna architektów stołecznych, która pozwoliła wyeliminować pewne tendencje, porównać plany — głównie tyczące się śródmieścia, ocenić postępy w pracach, wreszcie zestawić osiągnięcia rozmaitych biur.

Jesienią br. wystawa oczywiście w nieco zmienionej postaci zostanie udostępniona publiczności.

Przy okazji należy zanotować, że już w czerwcu rozpoczyna się przebudowa i odbudowa Marszałkowskiej na odcinku od Pięknej — gdzie Nowa Marszałkowska skręci ku Polnej i Pulawskiej — do placu Zbawiciela.

DOM LITERATURY

3 czerwca oddane zostały użytkownikowi — to znaczy Związkowi Literatów Polskich — dwie zabytkowe kamieniczki staromiejskie, Johna i Prażmowskich, znajdujące się na rogu Krakowskiego Przedmieścia i placu Zamkowego. Przed rokiem postawiono je w stanie surowym; na parterze i w podziemiach kamienicy Johna czynne są od lipca 1949 roku schody ruchome. Obecnie wykończono bogato wnętrza, czyniąc z Domu Literatury — jeden z najładniejszych budynków stołecznych. Obie staromiejskie kamieniczki zachowując odrębność w historycznym wyglądzie swych fasad — zostały wewnątrz połączone, wskutek czego uzyskano szereg dużych i pięknych pomieszczeń. Znajdować się tu będą biura Związku Literatów, hotel dla bawiących w stolicy przejazdem pisarzy, sala konferencyjna, pokoje klubowe, biblioteka, kawiarnia. Osobliwością Domu jest kształt jego pokoi, z których żaden nie posiada zwyczajnego prostokątnego wyglądu, wszędzie są kąty ostre lub rozwarte. Z balkonów i okien Domu rozpościera się piękny widok na Krakowskie Przedmieście, Stare Miasto, odbudowywany Zamek, Katedrę św. Jana, Wisłę, Trasę W-Z i panoramiczny na Pragę. W domu tym odbędzie się za kilka dni Zjazd Walny Związku Literatów.

KONGRES NAUKI

W ramach przygotowań do I Kongresu Nauki Polskiej powołano 38 podsekcji obejmujących wszystkie gałęzie nauki. Przed Kongresem odbędzie się — względnie już miało miejsce — 28 ogólnokrajowych zjazdów poszczególnych dyscyplin naukowych.

ERENBURG I JEGO KSIĄŻKA

2 czerwca bawił przejazdem w Warszawie znakomity pisarz radziecki Ilja Erenburg. Wygłosił odczyt o światowym ruchu pokoju, dzieląc się wrażeniami ze swej ostatniej podróży po Europie. Niemal równocześnie ukazała się na półkach księgarskich dwutomowa powieść Erenburga, „Burza" w polskim przekładzie Strumpf - Wojtkiewicza, nakładem „Książki i Wiedzy".

„Burza", jak wiele wydanych ostatnio przez „Książkę i Wiedzę" pozycji („Nad Niemnem", „Faraon", „Lalka", „Oblicze dnia", „Martwe dusze" i wiele innych) ukazała się w oprawie sztywnej, bardzo solidnej, przy zachowaniu niskiej ceny — 500 zł za duże dwa tomy. Zwyczaj wydawania książek w oprawach — tak pospolity na całym świecie — godzien jest najwyższej pochwały. I zachęty: więcej, więcej książek w oprawach!

Alina Świderska

Premiery krakowskie

„Kredowe koło", na scenie europejskiej ma się do Chin mniej więcej tak, jak „Madame Butterfly" do Japonii, na kimś jednak, kto nie widział prawdziwego teatru chińskiego, może sprawić wrażenie istotnego egzotyzmu. Wrażenie to spotęgowane jest przez doskonałą oprawę plastyczną, przez bardzo dobrą muzykę, opartą na autentycznych motywach i przez niezmiernie staranne odtworzenie wszystkich znanych nam z tradycji szczegółów obyczajowych.

Utwór ten grany był już u nas, w Krakowie w okresie międzywojennym. Wówczas przyszedł do nas z Wiednia, dziś — z Moskwy. Stąd pewne różnice, które wyszły tylko na korzyść dzieła. Po dwudziestu kilku latach trudno przeprowadzić szczegółowe porównanie, o ile sobie przypominam jednak, to w samej treści sztuki nie ma zmian wybitnych. Zmienione jest tylko w pewnej mierze zakończenie, ale w tym właśnie punkt ciężkości, usunięto bowiem to, co w przeróbce niemieckiej zniekształcało myśl dramatu, przywracając formę oryginału. Tłumacz niemiecki, Klabund w scenie końcowej, przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości uczynił księcia, który w oryginale wcale nie występuje. Tłumacz radziecki poszedł za oryginalną wersją trzynastowieczną, gdzie rolę sędziego spełnia chłop, legendarny Pao-Czeng, rzecznik mądrości ludowej, który karci zło, choć „brzęczące złotem". Wspaniała oprawa sceniczna tego momentu, przepyszny kostium ubioru i w ogóle maska tej postaci zakasowała ze szczętem całą efektowną paradę dworu książęcego z uprzedniej inscenizacji.

W ogóle gra aktorska w scenach dramatycznych, chociaż pojęta na sposób europejski, była sama przez się doskonała. Reżyserii również nic zarzucić nie można oprócz tylko zbyt małego zaakcentowania wstrząsającej chwili, która jest odmianą sądu Salomona. Wyrywanie dziecka z „koła kredowego" przez fałszywą matkę stanowczo powinno być gwałtowniejsze i należało bardziej uwydatnić kontrast między tą brutalnością a łagodnymi ruchami matki prawdziwej.

Teatr Młodego Widza, włożył niesłychanie wiele starania w przedstawienie tej sztuki. Tekst wzbogacono przekładami starej poezji chińskiej, dokonanymi przez najlepszych pisarzy i tańcami obrzędowymi, które choć nie miały charakteru lokalnego, były jednak świetnym wyczynem techniki choreograficznej — i stworzono w ten sposób całość o poziomie bardzo wysokim.

„Inżynier Saba", właściwie nie był premierą, ponieważ oglądaliśmy go już w zeszłym sezonie. Obecnie jednak utwór ten uległ pewnym przemianom, na których zyskał bardzo. Dzięki umiejętnie poczynionym skrótom, skondensowana została treść ideowa, nabierając w skutek tego większej wyrazistości; usunięto zbędną postać literata a przez częściową zmianę obsady wzmocniono efekty komiczne; udoskonalono oprawę sceniczną czyniąc ją bardziej malowniczą i urozmaicono ją, zmieniając w akcie drugim miejsce akcji. Wszystko to razem sprawiło, iż całość — dzięki talentowi z jakim autor czynił te zmiany — nabrała życia. Że zaś sam nerw sztuki tętni prądem aktualności i znajduje oddźwięk na widowni, tego dowodem były samorzutne wybuchy oklasków (znalazłam się przypadkowo na przedstawieniu, na którym była obecna liczna wycieczka z prowincji).

Sam bohater tytułowy jest to, prawdę rzekłszy, zmodernizowana i zaktualizowana postać klasyczna „szlachetnego inżyniera" ze sztuk Ohnet'a z wieku XIX-go. Wyborna gra podkreśliła pierwszorzędne walory tej roli. Właściwie co prawda głównym bohaterem powinien być... fenol. Ponieważ jednak ta nazwa nie figuruje jako tytuł, słusznym jest, że punkt ciężkości przeniesiony został na postacie ludzkie.

Najsłabszą postacią sztuki jak był, tak i pozostał inżynier Prędski, typowy „czarny charakter" a jego nagłe nawrócenie się na końcu nieumotywowane zwłaszcza, że wobec znalezienia dowodów na jego przekupstwo trudno przypuścić, żeby mu dozwolono na udział w dalszej pracy nad epokowym wynalazkiem.

Mimo tego i paru jeszcze innych usterek, sztuka ma zapewnione powodzenie.

„Faryzeusze i grzesznik", to zręczne zużytkowanie znanej i sensacyjnej historii van Meegeren'a z przeniesieniem jej na tło dziejowe z czasów ubiegłej wojny i zneutralizowaniem jej tragizmu przez „happy end". Rzecz ta ma pretensję być komedię polityczną, ale zakrawa raczej na farsę. Są tam również pewne reminiscencje z „Archipelagu Lenoir" Salacrou. Pierwszy akt jest trochę niemrawy, dalsze coraz bardziej ruchliwe. Znajdują się tam nie tyle role dla aktorów, w których mogliby się wygrać, ile raczej tylko pewne momenty. Wyjątek stanowi postać malarza, dająca w pełni możność wyzyskania wszystkich odcieni gry, co też udało się doskonale w połączeniu z wyborną charakteryzacją zewnętrzną — a także rola Amerykanina, wykonana również bardzo dobrze, żywo i zabawnie, a ze szczęśliwym uniknięciem szarży. Cały zespół zresztą grał harmonijnie — jak zawsze u nas teraz — z temperamentem, z wykorzystaniem wszystkich efektów, jakie się dało uzyskać, a reżyseria świetnie utrzymała tempo. Dialog jest w miarę dowcipny, najwięcej zaś dowcipu tai się w tytule i w niektórych szczegółach tekstu.

Oczekujemy teraz na **„Balladynę"**, która zapewne będzie zamknięciem sezonu.

Alina Świderska

Rewolucja w Berlinie

(dok. ze str. 2-ej)

Już po napisaniu powyższego artykułu nastąpiła znana wizyta delegacji rządowej Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Warszawie, wydanie komunikatu o układach zawartych między Rzecz pospolitą Polską i Niemiecką Republiką Demokratyczną, wspólna Deklaracja obu Rządów w sprawie „wytyczenia ustalonej i istniejącej między obu państwami nienaruszalnej granicy pokoju i przyjaźni na Odrze i Nysie Łużyckiej", wreszcie znamienne wypadki polityczne, jak jednomyślne przyjęcie umów warszawskich przez Radę Min. N. R. D. i przyjęcie delegacji przez Prezydenta Piecka.

Cała prasa N. R. D. przyjęła te wypadki entuzjastycznie. Zastanawiając się nad ogromnym politycznym znaczeniem umów warszawskich „Berliner Zeitung" pisze m. in., „że poważną rolę dla przyjaznego ukształtowania się stosunków między Polską Ludową a Niemiecką Republiką Demokratyczną odegrał niedawny zlot młodzieży niemieckiej w Berlinie. Delegaci polscy mogli wówczas przekonać się, że granicy na Odrze i Nysie bronić będzie również postępowała młodzież niemiecka".

Wydaje mi się, że jedno tu trzeba napewno stwierdzić. Rząd N. R. D. zawierał wspomniane umowy i podpisywał Deklarację mając zaplecze społeczne, szczególnie w postawie młodzieży. To podkreśla wagę tych aktów, dalsza praca sił postępowych w Niemczech będzie ostatecznym gwarantem ich nieodwracalności. W tej chwili, nie zawahałem się nazwać wydarzeń warszawskich — historycznymi. Po raz pierwszy bowiem w historii obu narodów zdarzyło się, że Rząd Niemiecki, **mający poparcie poważnej części swego społeczeństwa** w zgodzie z Rządem Polskim wspólnie **wytyczył ustaloną i istniejącą między obu państwami nienaruszalną granicę pokoju i przyjaźni.**

Andrzej Micewski

Sp. wyd. „Pax", Inst. Wyd.

wysyła

G. BERNANOS
POD SŁOŃCEM SZATANA
cena 950 zł

B. MARSHALL
CHWAŁA CORY KRÓLEWSKIEJ
cena 750 zł

TEKĘ DRZEWORYTÓW
„OJCZE NASZ"
K. WROBLEWSKIEJ
cena 1200 zł

Po wpłacie na KONTO PKO
I-8515
SP. WYD. „PAX" INST. WYD.

Co piszą inni...

Gdybyśmy zebrali wszystkie **artykuły o tomizmie** wydrukowane w powojennej prasie polskiej, złożyłaby się spora książka. Świadczy to wyraźnie zarówno o „atmosferze filozoficznej", w jakiej żyjemy, jak i o wielkiej roli odgrywanej przez tomizm w rozwoju współczesnej kultury. Zdaje się, że gwałtowne zainteresowanie tym systemem filozoficznym, które zauważyć można obecnie zwłaszcza wśród młodzieży, nie jest wyrazem przejściowego snobizmu, ale wynika z bardzo głębokiej i bardzo prostej przyczyny: oto tomizm odpowiada na wiele pytań dręczących człowieka, który patrzy na epokę współczesną i zadaje sobie trud myślenia. Na ogół wszyscy zdają sobie dobrze sprawę, jaki jest stosunek tomizmu do ortodoksji katolickiej. Doktryna filozoficzna tomizmu nie jest i nie może być dogmatem. Kościół tylko zachęca nas: „idźcie do Tomasza", ale pozwala każdemu wiernemu wybrać filozofię, jaka mu się wyda lepsza.

Dlatego właśnie zrozumiałe jest, że obok zasadniczego nurtu tomistycznego istnieją w filozofii katolickiej i zawsze będą istnieć inne szkoły filozoficzne. W naszych czasach szczególnie głośne są próby budowania katolickiej filozofii egzystencjalistycznej (której koryfeusze — nota bene — powołują się często na pewne koncepcje tomistyczne). Piotr Szary w artykule pt. **„O wartości tomizmu"** („Tygodnik Powszechny") zwraca uwagę, że również w naszej prasie dają się zauważyć pewne tendencje antytomistyczne, zawarte często w ubocznych, marginalnych wzmiankach. „Bardzo pobieżnie, ale w sposób bezapelacyjny podaje się rewelacyjne jakoby prace filozofów lub teologów katolickich, które w kozi róg zapędziły św. Tomasza i jego zwolenników". Autor ocenia te tendencje bardzo krytycznie, uważając, że mogą one przynieść dużą szkodę obecnemu rozwojowi myśli katolickiej w Polsce. „Chcemy się przeciwstawić samej tendencji, która jest zadziwiająco niewczesna i istotnie szkodliwa na naszym gruncie. Niewczesna, bo walczy z tomizmem, który w Polsce nie wyszedł poza grupę niewielu specjalistów, który nie zapuścił korzeni w naszej glebie intelektualnej i który, nie znany szerszym warstwom katolików ze strony pozytywnej, ukazuje im się od razu jako system jednostronny, krytykowany, powiedzmy — niemodny". Piotr Szary wskazuje słusznie, że tendencje takie są groźne wtedy, gdy przybierają postać jakiegoś antyintelektualizmu, który zwłaszcza w połączeniu z tradycyjnymi kompleksami tkwiącymi jeszcze w psychice polskiej, — „popycha ją po tej pochyłości, która tylokrotnie okazała się dla niej szkodliwą — w romantyzm uczucia, myśli i woli".

Zdaje się, że te słuszne uwagi zostały u autora połączone z nieco przesadnymi obawami; w rzeczywistości autorytet tomizmu jest w Polsce przynajmniej wśród inteligencji katolickiej duży; aby jego znajomość była równie duża! Bardzo wielu ludzi dostrzega, że tomizm jest potężną siłą kulturotwórczą, że **zwłaszcza w dzisiejszych czasach wielkich przemian społecznych, tylko język filozofii w pełni realistycznej, w pełni obiektywistycznej może być skutecznym narzędziem walki o nowe formy życia odpowiadające ideałom wiary chrześcijańskiej.** Słusznie wskazuje Piotr Szary, że problemy filozoficzne tomizmu ze względu na swą uniwersalność mają charakter wybitnie społeczny. Społeczny charakter mają również wielkie herezje filozoficzne czasów współczesnych: agnostycyzm, indywidualizm i idealizm, naturalizm: „Agnostycyzm pozbawia ludzkość przekonania o bezwzględnej trwałości nie tylko prawdy, ale i zasad moralnych; indywidualizm podkopuje więź społeczną między ludźmi we wszelkich dziedzinach życia, naturalizm wprost atakuje religię. A wszystkie te postawy intelektualne mają wspólne źródło w fałszywej filozofii. Dlatego właśnie Kościół wskazuje nam filozofię św. Tomasza".

Wskazuje oczywiście „jako latarnię, a nie jako granicę". Tomizm jest doktryną dynamiczną, ciągle się rozwijającą. Tak właśnie — zgodnie z najbardziej autentyczną tradycją — pojmuje tomizm ks. prof. Kazimierz Kłósak, którego artykuły rozsiane w naszej prasie zdobyły sobie pozycję przekraczającą właściwie ramy publicystyki. Swoje credo filozoficzne formułował on niedawno w rozmowie udzielonej reporterowi naszego pisma (nr 22), mówiąc, iż tomistyczna filozofia przyrody „powinna być ciągle na nowo przemyśliwana w związku z wynikami nowoczesnego przyrodoznawstwa i współczesnej filozofii". Jak wygląda w praktyce realizacja tych planów naukowych, mogli ocenić czytelnicy ostatnio w świetnym szkicu ks. prof. K. Kłósaka: „Katolik wobec dialektyki marksistowskiej" („Tyg. Powsz." nr 21 — 22).

Cieszymy się bardzo, że nasi tomiści nie zamykają swoich prac w tajnym przybytku czasopism fachowych, ale rozsiewają je w prasie kulturalno - społecznej. Długo jednak odczuwaliśmy brak krótkiego i syntetycznego „podręcznika" tomizmu, jakiegoś zwięzłego i przystępnego wprowadzenia do problematyki „Summy". I oto wreszcie mamy! Ostatni (23) numer „Znaku" drukuje znakomitą pracę O. Inocentego Bocheńskiego pt. **„ABC tomizmu — Zwięzły zarys całokształtu filozofii św. Tomasza".** Omawianie tej pozycji przekracza kompetencje przeglądu prasy. Dlatego odłożymy to do specjalnego artykułu. Tu tylko sygnalizujemy czytelnikom wagę **wydarzenia kulturalnego,** jakie stanowi dla nas ta kapitalna praca wielkiego uczonego, który nie zawahał się poświęcić swego czasu na popularyzację, i to jaką popularyzację! — „ABC tomizmu" musi przeczytać każdy, komu droga jest idea kultury personalistycznej.

Z. K.

Zbigniew Lenartowicz

O socjologię prasy

Już przed 39 laty prof. St. Jarkowski wskazywał na konieczność systematycznego, źródłowego i planowego badania prasy i jej rozwoju. Myśl ta wśród garstki ówczesnych ludzi prasy nie znalazła właściwego oddźwięku, a poważni uczeni odgrodzili się od niej chińskim murem iście obskuranckiej pogardy i lekceważenia.

O prasie mówiło się podówczas jako o specjalnej gałęzi literatury określanej mianem: literatura periodyczna. Prasoznawstwo jako odrębna gałąź naukowych zainteresowań, jawi się właściwie dopiero w okresie drugiej niepodległości. Ale fakt ów nie zmienia od razu na lepsze stanu badań naukowych nad prasą, tak że porównywano go ze stanem badań archeologicznych na jakimś niezmiernie zaniedbanym cmentarzysku.

Dziś wypada się zastanowić: czy drugi okres powojenny przyniósł na tym odcinku wydatną poprawę. Czy badania nad prasą nie stanowią w pewnym sensie nadal pola ugorującego.

Niestety powiedzmy prawdę i dziś jeszcze problem dziennikarstwa w nauce polskiej nie spotyka się z głębszym podejściem.

Nie co innego, jak ogromna rola prasy wskazuje na palącą konieczność prowadzenia jak najpoważniejszych badań naukowych, przede wszystkim w dziedzinach dotąd najbardziej zaniedbanych, a więc m. in. w zakresie socjologii prasy.

Nie dość jednak zadowolić się odnotowywaniem potrzeby, należy choćby pobieżnie zarysować obraz dociekań naukowych w tym przedmiocie, wskazać jego kontury, wysunąć postulaty.

Dzienniki i periodyki prócz informacji dostarczają czytelnikom gotowych ocen faktów, poglądów i zjawisk socjalnych. Kształtują więc umysłowość odbiorców, nadają jej wybrany kierunek — pozytywny wówczas gdy pismo cechuje zdecydowana postawa moralna — negatywny jeśli tych właściwości ono nie posiada.

Stąd właśnie socjologia, która zajmuje się analizą konkretnych odcinków rzeczywistości społecznej, bada w swoim zakresie wychowując społeczeństwo i wychowanego osobnika, pozwala nam zrozumieć mechanizm pewnych zjawisk, ta socjologia w kwestii społecznego oddziaływania prasy ma prawo zabrać głos.

Tu wyłania się pytanie: jakie zadanie ma socjolog w obrębie prasoznawstwa. Jest ich kilka: 1) badanie zespołów „publiczności prasowej" czynników jej powstania, ustalenie granic i okoliczności w jakich te zespoły się formują. 2) zapoznanie się ze strukturą społeczną dziennikarstwa, badanie w tym przedmiocie zagadnienia autorytetu i realnych sił społecznych, które kształtują kierunek i charakter pisma. Oczywiście nie da się tych badań przeprowadzić bez uwzględnienia zróżnicowań w łonie prasy. Oddzielnego badania będą od socjologa wymagały periodyki, które mają ambicję tworzenia nowego typu kultury; innych przygotowań i innego podejścia wszystkie dzienniki informacyjne.

Zarówno w badaniach nad opinią indywidualną jak kolektywna socjologia współczesna skutecznie posługuje się metodą polegającą na rozpisaniu ankiety dla poszczególnych jednostek przedstawiających wszystkie warstwy społeczne.

W charakterze środków pomocniczych występują tutaj wywiady społeczne, konkursy biograficzne, kąciki dla czytelników będące sui generis przejawami opinii publicznej.

Mija rok za rokiem, a u nas po staremu brak odpowiedniej ilości katedr socjologii prasy. Dwie istniejące do tej pory katedry tego typu na Uniwersytecie Poznańskim (prof. Szczurkiewicz) i na Wydziale Dziennikarskim Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Krakowie (prof. Orsini Rosenberg) nie naprawiają negatywnego stanu rzeczy. Myślę, że ustawicznie warto przypominać: więcej katedr socjologii prasy, więcej naukowców w tej dziedzinie likwidujących ugór, bo to jest problem pierwszorzędnej wagi, kategorycznie domagający się pełnego rozwiązania.

Zbigniew Lenartowicz

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński

Adres Redakcji i Administracji: Skolimowska 13; I p. Konto PKO — Nr I 727

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych Kwartalna 180 złotych

B-112032